TRIO MUZYKALNO-LITERACKIE.

TRIO
MUZYKALNO-LITERACKIE

z

CIEKAWSZYCH MOTYWÓW CZASOWEGO PIŚMIENNICTWA

UŁOŻYŁ

Benedykt Dołęga.

[[illegible] Jakub]

KIJÓW.

W drukarni uniwersyteckiej, nakładem i drukiem

JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1862.

Pozwala się drukować, pod warunkiem złożenia w komitecie cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy. Kijów, dnia 13 Marca 1862 roku.

CENZOR O. *Nowicki.*

INTRODUKCJA.

Vulgus ex veritate pauca, ex opinione multa æstimat.

Cicero.

Wie bez wątpienia każdy z nas, że najważniejszą rzeczą w życiu człowieka jest zrozumienie celu życia, i mówiąc zwyczajnie o tych, co lichemi środkami światowych konwenansów zyskują pewne zadowolenie duchowe, że żyją bez celu, zgadzamy się poniekąd wszyscy na to, że celem życia rozumnéj istoty jest i powinno być nie co innego, jak prawda. Lecz aby pożądać czego stale, nieskończenie, nadewszystko, aby, mówię, prawda jako cel życia mogła zaprzątnąć raz na zawsze rozum, serce i wyobraźnię naszą, trzebaby ją ukochać jak najpiękniejszy ideał, ukochać całą duszą; a jakże przejąć się taką miłością potrafi ten, kto wzrósł i wychował się w cieniu towarzy-

skiéj przyzwoitości, sztuczném tylko ciepłem pochlebstwa ogrzewany? Powszechne jednak uznanie wartości prawdy jest tak zniewalającém, że nie trudno o przykłady szczerego jéj hołdownictwa tam nawet, gdzie wbrew przeciwne jéj żywioły przemożnie na ukształcenie duchowe wpływają. Fenomenalność każda zasługuje na pewne w massie odróżnienie, i dla tego specjaliści etycznego fachu, chcąc uczcić przedniejsze z owéj niewdzięcznéj sfery indywidua, to jest śmiałych wyznawców celu w Bozkiéj Nauce wskazanego, wykoncepowali dla nich, jakby drogocenny jaki klejnot cywilną odwagę, wyraz bez żadnego wprawdzie znaczenia w oczach tych, co miłość prawdy z piersi matczynéj wyssali, ale potrzebny w zwyczajnym biegu spraw ludzkich, potrzebny w kieszónkowym dykcjonarzu każdego zwolennika mody, jako organiczna negacja idei bujnie krzewiących się w świecie obłudy i fałszu.

Od roku 1846, w którym po raz pierwszy wystąpiłem publicznie przeciwko autorowi Śmierci i Odrodzenia, usiłującemu jakimś talmudycznym mistycyzmem odstręczyć nas od samodzielnego kształ-

cenia się na drodze intellektualnéj, na ileż to narażony byłem udręczeń, goryczy i boleści przez tych właśnie, których autorskie tendencje mocno się przeciwiły moim zasadniczym o prawdzie pojęciom! A jakaż to burza powstała była w naszym światku literackim, ile pocisków zaprawnych jadem najobelżywszéj ironji wymierzono ku mnie, kiedy pod wrażeniem mocnego niezadowolenia z odczytania jednéj z powieści p. Kraszewskiego (Chata za Wsią), ośmieliłem się dyskussji napisanéj do Gazety Codziennéj, dowodzić nonsensu i moralnéj nicości tego utworu! Nawet redaktorowi téj gazety, szanownemu p. Przezdzieckiemu dostało się nie lada za umieszczenie takiego bluźnierstwa (!!), bo jakiś feljetonista Czasu krakowskiego, któremu do tyla przewróciło się w głowie, że zaczął siebie wystawiać na podpisie pod figurą słońca, wyraźnie mu powiedział, że Dołęga, który śmie pisać takie brednie o p. Kraszewskim, w żadném dobrém towarzystwie cierpiany być nie powinien. I ten wybujały na gnoju faryzeuszowskim słonecznik, pastwa wróblęcych mózgów, tuczy się może dzisiaj jeszcze u stołu bankier-

skiego owocami téj swojéj głupio-energicznéj admiracji. Niechże się tuczy na dalszy pożytek swoich chlebodawców, a ja chowając w duszy wdzięczną pamięć o byłym redaktorze Gazety Codziennéj, mocno się cieszę, że za słowa prawdy otwarcie powiedziane takiéj znakomitości jak p. Kraszewski, przyszło mi wycierpieć najzłośliwsze ataki tuzinkowych jego apologistów.

Zwyczajnie człowiek po przebyciu jakiéjś uciążliwéj, chociażby osobistym niematerjalnym interesem wskazanéj drogi, osiadłszy w cichym i dobrze zaopatrzonym kącie, niechętnie zwraca się myślą do licznych przykrości, jakie w téj drodze znosić musiał; i woli raczéj z tego, co mu się obecnie urokiem domowego szczęścia śmieje, snuć fantastyczne widoki swojéj przyszłości. Ja przeciwnie, mam osobliwszy jakiś pociąg do obrazu mojéj przeszłości, jak gdyby był malowany przez najbieglejszego artystę; lubię rozważać kolejno wszystkie jego szczegóły uwydatnione rzuconém z góry światłem anielskiéj pomocy, i każdy nawet niefortunny zamach, każde f i a s c o nacechowane domyślną, albo wyraźną pogardą mojego po-

średnictwa, sprawia mi pewne zadowolenie; bo czyliż złe pozornie i choćby rozgłośnie wziętością jakiegoś magnata w naszéj literaturze uwieńczone skutki, nie są najsłabszą protestacją przeciw sumieniu, w którém się kryje główna przyczyna wszystkich moich arystarchicznych wyskoków? Z tego źwierciadła lat dwudziestu kilku, które mnie po dziennéj pracy, bądź to w porze mrozów i zawiei śnieżnych w ciepłej komnatce, bądź latem w cienistéj altance ogrodowéj spoczywającemu, usłużna pamięć tak często przed oczy podsuwa; ileż to wytryska dzielnych, ożywczych, wzmagających siły ducha promieni! Wpatruję się sympatycznie w tę niepowrotnie już oddzieloną ode mnie większą połowę mojego życia, i cóż w niéj widzę?—nic prócz myśli o drzewie społeczeństwa toczoném przez robactwo czczych zabiegów, i chęci skutecznego zaradzenia téj pladze moralnéj. Nie ma tam faktów świadczących o jakiéjkolwiek missji, nie ma żadnych prawie owoców — same tylko embrjony szacownych nasion, kwiaty w swych pączkach zmarniałe; a jednak samo to żarliwe, acz bezowocne dążenie do wielkiego celu, do nastrojenia narzędzi

opinji publicznéj na ton bezwzględnéj prawdy, jakże ponętnym dla oczu mojéj duszy rozściela się szlakiem! Nie trapią mię bynajmniéj liczne w moich prywatnych i publicznych wystąpieniach zawady zrządzone czyjąbądź pychą i zarozumiałością, nie oburzają przypomnienia złośliwych dąsów, groźb, przechwałek i tych scen wulkanicznych, których reprodukcja w jakiéjbądź sztuce, mogłaby wzbogacić każdego przedsiębiercę potężnym swym efektem; wszystko to owszem, jak gdyby było przyg towawczym tylko, acz grubym do upragnionego przeze mnie dzieła materjałem, rodzi w sercu mém dobrą otuchę, i tém dzielniéj do roztrząsania planów przyszłéj siejby zagrzewa.

Wspomniawszy przed chwilą o dwuch głośniejszych próbkach moiego literackiego prawdomierza, muszę jeszcze dla uwydatnienia celu niniejszéj polemiki, dotknąć choć pobieżnie tego, co ją poprzedziło. A w cóż to się obróciły moje tak serdecznie-przyjacielskie stosunki z pewnymi gieńjuszami, których imiona świecą dziś, lub świecić będą niebawem na kartach Historji Literatury Wójcickiego emblematem chwały narodowéj? Zdawało się, że zakres lu-

dzkiego życia nadto jest szczupłym, aby mógł zaspokoić potrzebę dzielenia się ze mną kwiatami serca i owocami umysłu, jaką każdy z nich uczuwał; ale w téj właśnie chwili, kiedy wsparty na wielolicznych ustnych i piśmiennych dowodach, oddawałem się marzeniom o rozkoszach trwałéj przyjaźni, ogniwa jéj jedno po drugiém zrywać się zaczęły—a dla czego? Odpowiedź na to znajdzie w rozumie swoim ten tylko, kto naturę uczuć ludzkich zbadał we wszystkich przejawach egotyzmu. Wskażcież mi, proszę, w jakiémkolwiek gronie ludzi staranniéj niby ukształconych i uchodzących za najgorliwszych wyznawców Chrystusa, wskażcie mi, mówię, takiego, któryby nie był rzeczywiście poganinem zawsze, ilekroć idzie o najmniejszą z siebie, z miłości własnéj ofiarę na rzecz tego, co się w teorji d o b r e m o g ó ł u, c z y l u d z k o ś c i *nazywa! Słyszałem i czytałem nieraz, że są gdzieś na świecie białe kruki, ale ich dotąd w żywe oczy nie widziałem; a owi geńjusze najsympatyczniéj niegdyś spoufaleni ze mną, nim się zabrali do odlotu w strony lepiéj daleko idealném ich słońcem ogrzane, tak troskliwie osłaniali się płaszczy-*

kami jakiejś różnojedni, czyli godzącéj wszystkie sprzeczności filozofji, że o kolorze ich pierza żadnego nie mogłem powziąć wyobrażenia. To tylko wiem z pewnością, że każdy z nich, wzrastając na drożdżach pochwał hojnie odbieranych, od świegotliwéj zgrai blanbeków, stał się z czasem we własnéj opinji taką wielkością, że nie mógł inaczéj, jak pogardliwie przyjmować wszystko, co nie było niemym owych pochwał odgłosem Nie będąc z liczby subjektów, dających się użyć do wtóru za lada grzecznostkę, pokazałem im wszystkim po kolei, czem jest rzeczywiście w moich oczach owa ich wielkość urojona, i to właśnie było przyczyną zupełnego ich ze mną rozbratu. Wiadomo, jakiej broni używać zwykła dotknięta w najżywotniejszym swoim interesie zarozumiałość. Kto chodząc zbyt długo z zadartym do góry nosem, nie mógł widzieć u stóp swoich krzątającego się mrowiego gminu, ten naturalnie najżyczliwszą o swojéj ślepocie przestrogę musi uważać za zuchwalstwo godne surowéj kary. Ale mniejsza o to, że złośliwy dowcip tych kilku samolubów, zaprzągłszy się do furgonu Nemezydy, obiegł wszyst-

kie nasze gazeciarskie stanowiska z wieścią o moim jakoby upadku z konia i śmierci; smutniejszém daleko, bo narażającém opinję publiczną na zgubną oscylację, jest faktyczne moje przeświadczenie się o złéj wierze niektórych panów redaktorów. Wszakże to ci, tak pompatycznie w swoich programmach rozwodzący się nad potrzebą sumiennego traktowania każdéj kwestji humanitarnéj mężowie, działają nieraz wręcz przeciwnie swoim programmom Kiedy opadniony przez rozdrażnioną lekkim szturchańcem krytycznym koterję, udawałem się do tych, szczególniej warszawskich orędowników publicznego sumienia z dokładnem wyjaśnieniem kapitalnéj winy, która mię mimo mojéj wiedzy z listy żyjących wyłączyła, jakież zyskałem zadosyćuczynienie? Oto jeden zaledwie raczył coś namienic o piśmie poświadczającém moją egzystencję; drugi, zostawiwszy na stronie to świadectwo, pośpieszył z potwierdzieniem w rubryce swoich nowin, wiadomości o mojéj śmierci; trzeci znalazł nawet stosownem ubarwić tę wiadomość kilku bodziakami swego dowcipu; czwarty też, dobrze wyrozumiawszy interes swych kolegów, nie zaniedbał po-

przeć go dodatkiem nowego jakiegoś fałszu, a każdy widocznie ujęty przez znanego tu dobrze autora dzieła o r y g i n a l n e g o p o d k a ż d y m w z g l ę d e m, a s z c z e g ó l n i e j p o d w z g l ę d e m n a t u r y, którego żaden z żyjących dzisiaj prenumeratorów dotąd jeszcze nie ogląda, cieszył się w duchu, że tak małą ofiarą, bo skazaniem jednego i m p e r t y n e n t a na odegrywanie roli upiora, potrafił zjednać sobie hojny abonament tak szumnie komfortem zalecającéj się koterji Winienem tu wszakże oddać sprawiedliwość panu Ohryzce, który jako redaktor S ł o w a, dopełniając święcie przyjętego na siebie obowiązku służenia swym czytelnikom prawdą w każdém swém słowie zawartą, natychmiast po odebraniu listu od p. Kazimierza Podbereskiego z doniesieniem o zbrodniczéj facecji nowego Filipa z konopi, zgromił potężnie tego fałszerza, nazwawszy go i s t o t ą n a j b a r d z i é j z a s ł u g u j ą c ą n a p o l i t o w a n i e, a jego szyderstwo z opinji publicznéj i igraszkę z poczciwego imienia, c z y n e m n i k c z e m n i e j s z y m o d t y c h w s z y s t k i c h, j a k i e s i ę d o p e ł n i a j ą p r z e z b a n d y t ó w i p o d p a l a c z y w m r o k u n o c y. Chwałaż

Bogu, że choć nawiasowo kiedy niekiedy natrafiamy na organ sympatyzujący z prawdą! Krzepiąc się na duchu żywym oddźwiękiem tych czcigodnych wyjątków, możemy być pewni, że prędzéj czy późniéj staną się one dla każdego miłośnika ojczystéj literatury najpożądańszą pomocą; a owoce sumiennéj pracy takich, jak pp. Przezdziecki i Ohryzko redaktorów, będą z czasem dostępne ogółowi, jak te żytnie i pszeniczne ziarna, które na codzienny jego użytek ziemia nasza produkuje.

Zamierzywszy obecnie oddać na sąd publiczny sprawę wynikłą z nader gorliwego praktykowania przez jednego z warszawskich redaktorów zasady miłości własnéj, winienem tu powiedzieć kilka słów o moich stosunkach z tym redaktorem. Kiedy na początku roku 1857 p. Józef Sikorski, autor Doręcznika Muzycznego powodowany nie płocho powziętą, lecz wywołaną istotną potrzebą myślą, przemówił „z sercem silniéj bijącém i ręką drżącą od wzruszenia do czytelnika, zwiastując mu swój zamiar wydawania pisma poświęconego muzyce, nic dla mnie nie było pilniejszego

po przeczytaniu tego anonsu, jak pochwycić pióro dla oświadczenia nowemu redaktorowi mojego współczucia i chęci najczynniejszego w jego pracy udziału. I otoż zaciągnąwszy się do szeregu stałych korrespondentów Ruchu Muzycznego, miałem wciąż zwróconą uwagę na sposób prowadzenia téj publikacji. Zapowiedział zgóry p. Sikorski, że w celu popchnięcia u nas muzyki do żywszego rozwoju, otwiéra w swém pismie miejsce dla wszelkich o niéj opinij, że w tymże celu wyrzeka się wszelkiéj koteryjności, i że krytyka, jak ów ordynansowy żołnierz, co z wytężoném okiem i chwytającém echo echa uchem, nad bezpieczeństwem obozu czuwa, będzie mu towarzyszyć nieodstępnie we wszystkich jego poglądach na muzykę. Piękna zaiste, obietnica! Ale czyż to wszystko, co w jasełkach sporządzonych przez p. Sikorskiego pod nazwą Ruchu Muzycznego ruszało się i skakało po jego komendzie w ciągu lat pięciu, może się nazwać takim, jakiego oczekiwaliśmy, skutkiem? czy opinje o wartości wychodzących u nas dzieł muzycznych różniące się od opinji samego redaktora, miały kiedy w jego pismie miejsce? czy tradycyjne byłego

w Warszawie Towarzystwa Przyjaciół Nauk przepisy o koleżeńskiéj solidarności, nie były najskrupulatniéj przestrzegane przez redaktora zawsze, ilekroć brał się do ocenienia nowego utworu któregokolwiek ze swoich współpracowników? Czy wreszcie krytyka, owa tak efektownie z czujności żołnierskiéj zalecana strażniczka, nie zasypiała zwykle snem najtwardszym wtenczas, kiedy w obozie naszéj muzykalności emissarjusze pseudoartyzmu koziołki wywracali? Próbowałem nie jednokrotnie donosności prawdy zawartéj w programmowém oświadczeniu p. Sikorskiego; były nie raz silne pobudki do wyświecenia niekonsekwentności jego metody redakcyjnéj; odważyłem się nie jednym, staranniéj obmyślonym artykułem wskazać temu arcykapłanowi polskiéj Euterpy, że mistrzowstwo przyznawane przezeń komukolwiek, może tak samo podlegać kwestji, jak każda opinja na nepotyzmie albo dobrym humorze uzasadniona, i że nie zawsze wyroki przez niego w sprawie rozwoju ojczystéj muzyki ferowane, mogą być dowodem kompetentności sądu; ale to wszystko na nic się nie zdało. Trzeba było po tylu niefortunnych zakusach, zrzec się

wszelkiéj myśli o wyciągnieniu jakiegokolwiek skutku z pięknych objetnic redaktorskiego prospektu. Widoczna, że ten tak wiele na samym wstępie obiecujący Ruch Muzyczny, założony został przez p. Sikorskiego na wyłączny swój i swojéj kompanji użytek. Nul n'aura d'esprit hors nous et nos semblables, to powinno być główną jego dewizą, bo czyż to raz dano nam najwyraźniéj poznać, że co do wartości kompozycij wydawanych szczególniéj nakładem warszawskich przedsiębierców, nie wolno mieć nikomu zdania nie zgadzającego się ze zdaniem p. redaktora Ruchu Muzycznego? Absolutyzm, jak księżyc w pełni, rozwielmożył się w naszym świecie muzycznym, i nikt z czytelników, poprzestających na spożyciu raz w tydzień jakkolwiek sporządzonego bigosu muzykalnego (pot-pourri), nie domyśla się nawet ogromu strat wynikających z braku organu oppozycji. Zdaje się może nie jednemu, że redaktor, który tak mozolnie na swojém stanowisku jedną po drugiéj kwestję porusza, a nawet je z niczego tworzy, musi nosić w swém łonie miłość dla wszystkiego, coby mu w pracy około wyzwolenia sztuki z więzów mody

i pedantyzmu dopomódz mogło; że jest najgorliwszym patronem młodzieży poświęcającéj się muzycznym ćwiczeniom; że się cieszy, jakby znalezionym na swojéj drodze skarbem, każdą udatną próbką nowego talentu; że gotów całym swym wpływem wspierać dostrzeżone jakiekolwiek zdolności? I mnie to śniło się kiedyś, i ja z kądzieli łatwowierności prządłem nie raz takie same wnioski; ale dziś, po upływie lat pięciu, kiedy już Ruch Muzyczny tak się zestarzał, że aż cuchnąć zaczął grobową stęchlizną, i dla tego przezwał się Pamiętnikiem, dziś, mówię, nic podobnego nie może powstać w mojéj głowie. Ścisła egotyczność w zasadach i dążności, passja do przodkowania na uzurpowaném stanowisku, pilne przestrzeganie prerogatyw swojéj koterji aż do lekceważenia obowiązków bezstronności, nieprzerwane ubieganie się o imponowanie pozorami jakichś wielkich przedsięwzięć i czynów, pyrotechniczne od czasu do czasu igraszki z pewnemi tak nazwanemi kwestjami w przedmiotach, które już oddawna kwestjonować nie było żadnéj potrzeby, słowem złoto szczerości, perły patrjotyzmu i djamenty bezwzględnéj prawdy

w teorji, a szych samoistnéj próżności, próchno hipokryzji i fałszu w saméj praktyce — oto charakterystyczne własności biednéj naszéj redakcji muzykalnéj, i o tém z łatwością przeświadczyć się może czytelnik rozpatrzywszy sprawę, którą obecnie, jako jeden z najpospolitszych u nas przykładów zgubnéj oppresji redaktorskiéj, na sąd jego przedstawiam.

B. Dołęga.

Pisałem w Kijowie d. 23. Lutego 1862. r.

RECENZJA P. JÓZEFA SIKORSKIEGO

UMIESZCZONA W N. 34 RUCHU MUZYCZNEGO Z ROKU 1861,

pod tytułem:

Sześć piosenek z towarzyszeniem fortepjanu,

MUZYKA ANDRZEJA JANOWICZA.

W № 28 (Ruchu Muzycznego) z. r. wspomnieliśmy o nadesłanéj nam piosnce: *Gwiazdka* napisanéj przez pana Andrzeja Janowicza, a wydanéj przez nakładcę w Żytomierzu, Budkiewicza. Nie mogliśmy wówczas nic pewnego powiedzieć o zasłudze kompozytora, bo to z jednéj piosenki czy dobréj czy lichéj wnieść się nie da. Zdawało się nam jednak, że w przyszłych utworach pana Janowicza, których zapowiedź na tytule pierwszego położono, znajdziemy coś popierającego drobniuchne wskazówki dobrego smaku, charakterystyki a może i samodzielności jakiéj wyrażeń muzycznych, jakaś przynajmniéj oryginalność

faktury. Bez jednego bowiem z tych przymiotów nie rozumiemy kompozytora. Wyznajemy, że z pięciu piosenek dalszych pana Janowicza i należących do tegoż samego co i tamto opus № 1-szym oznaczone, nie jeszcze wnosić nie możemy — a mówiąc prawdę, nie chcemy—bobyśmy chyba niekorzystnie dla autora wnosić musieli. Wistocie żadna z tych pięciu piosenek niczém się nie zaleca, cośmy ogólnie jako zalety kompozytora nowego wskazali wyżéj. Co do smaku muzycznego to tylko powiedzieć można, że go z tych piosenek zaprzeczać się nie godzi—bo smak może się wyrobić; dziś symptomata jego bardzo słabe i tém słabsze, że wybor poezij, do których pan Janowicz muzykę dorobił, nie jest bynajmniéj szczęśliwy. Wierszyki te niczém się nie zalecają, choć są dosyć gładkie, i dziwimy się, że panu Janowiczowi przyszło na myśl muzykę do nich dorobić. Jeden z nich *Czerep* grzeszy nawet straszliwie przeciwko dobremu smakowi.—Gdyby się kto naprawdę tak odezwał do kochanki:

»Kiedy czerep mój z mogiły
Sęp do twéj zaniesie chatki,
Niech ci dar ten będzie miły.
Jako szczątki z méj mogiły«... i t. d.;

to chybaby czarownicą być miusała, gdyby mu nie dała dymissji na zawsze. Coż mówić o smaku kompozytora takie obmierzłe pomysły propagującego?

Przy ogólnéj bladości tekstów, nie mógł się muzyk zdobyć na jakieś wyrażenia charakterystyczne, à zdobywając się na nie, nic nie powiada nowego i stosuje fałszywie to co mówi Jak można, naprzykład, dobrać poważne, uroczyste, przerażające *tremolando* do wezwania do wiosny:

»O wiosno, przyjdź wiosno, przyjdź kwiatów królowo!«..

Jak można komponować muzykę do śpiewu, a mieć tak słabe jak pan Janowicz poczucie rytmiczne języka — nie wiedzieć, że zgłoski długie wymagają mocnych części taktu? Wykroczeń przeciwko temu naturalnemu prawu nie trzeba mozolnie szukać w piosenkach, o których mówimy: dość wziąć do przejrzenia jedną z nich, np. *Wiosna*, a co wyraz prawie się je spotyka.

Pomysły pana Janowicza dosyć są gładkie, ale bezsilne; harmonja dobra, ale bezwładna; faktura śpiewu i przygrywek potoczysta, ale śpiąca; słowem nic prawie złego, ale wszystko okropnie nudne.

No! ależ to Opus 1-sze! i dla tego też postanowilismy wypowiedzieć nagą prawdę autorowi—choć może przykrą. Zdaje się nam, że mu brakuje oswojenia się z tém, co lepszego w muzyce się znajduje, i dla tego widzenia jego muzyczne nie mogą podnieść się nad powszedniość; zdaje się także, że bierze chęć swoją do zrobienia czegoś, za dostateczną, by to coś miało wyższą wartość. Dla tego też taki brak ognia, siły, pomysłowości, nawet sprawności (?)—przymiotów, którego (ma być zapewne: które) albo z gorącego poczucia, albo z głębokiego widzenia, albo z wyższego naukowo - technicznego wykształcenia wynikają.

Opus 2-gie pana Janowicza nie prędko powinnoby się okazać (ma być zapewne: ukazać), jeżeli większą jak 1-sze ma mieć zasługę.

ANTIRECENZJA P. ANDRZEJA JANOWICZA

UMIESZCZONA W N. 50 RUCHU MUZYCZNEGO Z ROKU 1861,

pod tytułem:

Odpowiedź na recenzję umieszczoną w № 34 tegorocznego Ruchu Muzycznego.

Nigdy nie czułem w sobie ani chęci, ani zdolności do polemiki, zwłaszcza w przedmiocie muzyki, o któréj dotąd, niby o alchemji, wolno bezkarnie mówić i pisać, co się komu żywnie podoba. Gruntowne pojęcia o téj sztuce jeszcze tak mało są u nas upowszechnione, że najczęściéj kilka śmielszych jednostek, *jure caduco* zdobywszy autorytet w téj mierze, wywijają nim w lewo i w prawo, tnąc w czambuł cokolwiek się nawinie, a ogół—nie wchodząc w istotę rzeczy, poprzestaje na jakiémbądź, byle gotowém zdaniu. Takowa taktyka rozwija się tém bezpieczniéj, że wszelkie przeciwko niéj protestacje rzadko dostępują zaszczytu druku, skazane na pastwę płomieni, jako buntownicze szemrania przeciwko niecofniętym wy–

rokom arystarchów. Mając to wszystko na uwadze, znosiłem spokojnie rozmaite ztąd i zowąd napady, w nadziei, że te ustąpią wreszcie sumiennéj a bezstronnéj krytyce, do jakiéj ludzie myślący tęsknią u nas oddawna. Przeświadczony wszakże, iż pomimo znakomitego zkądinąd postępu, krytyka nasza pozostaje wciąż jeszcze na jednym stopniu, zdobywam się na niniejszą odpowiedź, choćby tylko dla przekonania szanownych recenzentów, że dotychczasowe milczenie moje nie daje im bynajmniéj prawa zaliczać mię do rzędu tych, co wszelkie ich wyroki za nieomylną prawdę uznają.

Pan Redaktor Ruchu Muzycznego w wyżéj wymienionym Nrze swego tygodnika, zwracając łaskawie uwagę swą na moje piosenki, w ten sposób o nich się odzywa: »Z nadesłanéj nam piosenki: *Gwiazdka* »napisanéj przez p. Andrzeja Janowicza, nie mogliśmy »wówczas nic pewnego powiedzieć o zasłudze kompo- »zytora—bo to z jednéj czy dobréj, czy lichéj piosenki »wnieść się nie da. Zdawało się nam jednak, że w »przyszłych utwarach p. Janowicza, których zapowiedź »na tytule pierwszego położono, znajdziemy coś po- »pierającego drobniuchne wskazówki dobrego smaku,

›charakterystyki, a może i samodzielności wyrażeń ›muzycznych. Bez jednego bowiem z tych przymiotów ›nic rozumiemy kompozytora. Wyznajemy, iż z pięciu ›dalszych piosenek p. Janowicza i należących do tego ›samego co i tamto opus № 1-szym oznaczone, ›nie jeszcze wnosić nie możemy—a mówiąc prawdę, ›nie chcemy—bobyśmy chyba niekorzystnie dla autora ›wnosić musieli‹.

Ta prawdziwie chrześcjańska wyrozumiałość tém większém przejęła mię uwielbieniem, że ją potwierdził w zupełności dalszy ciąg tegoż artykułu: ›Żadna z ›tych pięciu piosenek—powiada daléj recenzent—niczém ›się nie odznacza, cośmy ogólnie jako zalety kompo- ›zytora nowego wskazali wyżéj‹. A że przy wyliczeniu tych zalet dodaje, że bez jednéj z nich nie rozumie kompozytora, przeto rzecz jasna jak słońce, iż z prac moich nic jeszcze nie chce wnioskować, by uniknąć wniosków niekorzystnych.

Nie mówiąc już o smaku, od którego, jak zobaczymy niżéj, zupełnie mię odsądzono, niech mi wolno będzie zapytać recenzenta, czy doprawdy jest tego przekonania, że owe zalety w podanéj przez

niego recepcie na nowych kompozytorów, same przez się, ba nawet oddzielnie wzięte, są już dostateczną na kompozytora kwalifikacją? Mnie się zdaje, że ani samodzielność wyrażeń muzycznych, ani oryginalność faktury nic jeszcze nie stanowią, skoro myśl niemi objęta jest płaską lub jałową, i lubo mogą mieć wagę przy prawdziwym talencie, wątpię wszakże, aby go zdołały zastąpić. Są to tylko oznaki pewnego stopnia rozwoju zewnętrznéj strony talentu, ale że i przy nich można być zimnym i nudnym kompilatorem, na to już nie braku, lecz mnóstwa dowodów lękaćby się należało. Nie bronię tu bynajmniéj piosenek moich; zaprzeczam tylko zdaniom, które autorytety nasze ciskają niby z piedestału wyroczni, bijąc w łeb brzmiącemi ogólnikami. Bo samodzielność, charakterystyka, oryginalność i t. p. przymioty, są tak względne i nieokreślone, że ich nie zdefinjuje najwprawniejsze pióro najwytrawniejszego recenzenta. Można o nich dysputować bez końca, ale dowieść, że je ktoś posiada lub nie, to, zdaje się, niepodobna. Sąd o tém należy do publiczności, która chociaż pozornie przyjmuje narzucone sobie zdania, jednak postępowaniem swojém

najczęściéj im zaprzecza. Chcąc zaś decydować o tém stanowczo, należałoby, obyczajem byłego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przyjąć raz na zawsze pewne przepisy, i według nich krytykę regulować. Dziwno mi nawet, ze szanowny recenzent, który z taką łatwością rozcina węzły gordyjskie, który w kilku słowach umiał zamknąć zalety nowych kompozytorów, dotąd jeszcze o podobnéj normie nie pomyślał. Wprawdzie w początkowych Nrach swego tygodnika obdarzył nas wzorami znakomitéj oryginalności w formie jednéj figury składanego kontredansa i 16—taktowego mazurka; ale początkujący kompozytorowie nie są w stanie regulować się do tak wysoce samodzielnych arcydzieł *).

Obaczmy teraz, jak recenzent wierny wciąż zapowiadanéj wyrozumiałości, dotykając kategorycznie składowych ingredjencij recepty na nowych kompo-

---

*) Musimy tu sprostować błąd p. Janowicza, i 16—taktowego mazurka, z którego chwały za autorstwo stanowczo wypiera się p. Redaktor, zamienić 17-taktową piosenką *Konikiem* umieszczoną w *Dodatku* do Ruchu Muzycznego z miesiąca maja 1858 r. *Uwaga Wydawcy.*

zytorów, usiłuje na każdym kroku ułomnościom moim pobłażać. »Co do smaku muzycznego — mówi on — »to tylko powiedzieć można, że go z tych piosenek »zaprzeczać się nie godzi — bo smak może się wy- »robić; dziś symptomata jego bardzo słabe i tém »słabsze, że wybor poezij, do których p. Janowicz »muzykę dorobił, nie jest bynajmniéj szczęśliwym. »Wierszyki te niczém się nie zalecają, chociaż są »dosyć gładkie, i dziwimy się, że p. Janowiczowi »przyszło na myśl muzykę do nich dorobić. Jeden »z nich np., *Czerep* grzeszy nawet straszliwie prze- »ciwko dobremu smakowi. Gdyby kto naprawdę tak »odezwał się do kochanki:

»Kiedy czerep mój z mogiły
Sęp do twéj zaniesie chatki,
Niech ci dar ten będzie miły,
Jako *szczątki z méj* mogiły (?)« i t. d.;

»to chybaby czarownicą być musiała, gdyby mu nie »dała dymissji na zawsze. Cóż mówić o smaku kom- »pozytora, tak obmierzłe pomysły propagującego?«

Nie wdając się w rosprawę o smaku, o którym *non est disputandum*, jak nie bez zasady twierdzi

dawna przypowieść, powiem tylko, że jeżeli wybór tych poezij nie licuje z indywidualném usposobieniem recenzenta, to jeszcze nie upoważnia go bynajmniéj nazywać autora muzyki do nich propagatorem *obmierzłych pomysłów*. Jednostronny pogląd, choćby nawet na drobne wierszyki, prowadzi zawsze do uprzedzenia, które jak z jednéj strony nie dowodzi krytycznego taktu, tak z drugiéj znowu o sumienności krytykującego wcale niepochlebne daje świadectwo. Bo nie rozumiem doprawdy, czém wierszyki, o których mowa, mogły tak *straszliwie* smak recenzenta obrazić! Są to bez zaprzeczenia nie wielkiéj wagi literackiéj utworki, ale podobno w niczém nie gorsze od upowszechnionych dziś w muzyce salonowéj *). Zresztą, szanowny recenzent zawiele bierze na siebie, kiedy nawet wyrok kochanki uprzedzać zamyśla. Niech będzie pewnym, że prawdziwa kochanka, choćby nawet nie była czarownicą, lepiéj od niego zrozumie znaczenie tych wierszy, i nierównie wyrozumialszą okaże się w téj mierze, niżeli on pomimo wciąż zapowiadanéj

---

*) Wyłączając naturalnie tekst do *Konika*.

U. W.

wyrozumiałości. Zrozumie ona, że czerep kochanka nie ma być podarunkiem z rodzaju tych, jakiemi są braslety modne lub kolje djamentowe, a posłyszawszy dalsze strofy, nie wytłumaczy sobie opacznie piosenki, byle tylko który z recenzentów nie przerobił ich na swoje kopyto. W oryginale bowiem, stoi wyraźnie: »Niech ci dar ten będzie miły jako *szczątek mój* z mogiły;« w Ruchu Muzycznym zaś poprawiono: »jako *szczątki z méj* mogiły«. Nic dziwnego, że warjant takowy wygląda niby gorzka apostrofa do Witelliusza, któremu zwłoki nieprzyjaciół, jako dowód ich zniszczenia, sprawiały dziką przyjemność; w oryginale jednak wyrażono, że szczątki drogich osób mogą być dla nas miłemi, jako przypomnienie ich życia. To zdaje się ani prawdzie, ani dobremu smakowi nie ubliża. Nie wiem zresztą, jaki jest indywidualny smak recenzenta, równie jak i tego nie zgadnę, o jakich kochankach powiada, bo jużciż trudno zaprzeczyć, że nie dla każdéj z nich może mieć wagę sama tylko pamięć o kochanku. Każdy sądzi o tém wedle własnych eksperjencij. Bądź co bądź, autor tekstu do piosenki *Czerep*, gotów przyznać się do anachro-

nizmu, prosząc jednak, aby wiersze jego, jeżeli tego wypadnie potrzeba, przytaczano bez poprawek, bo *litera docet, litera nocet,* zkąd często wynikają dwuznaczniki. Wprawdzie cztéry tylko litery zmieniono, ale czasem jednéj lub dwóch aż nadto, by rzecz całą w inném świetle wystawić. Gdyby naprzykład w tytule: *Doręcznik Muzyczny* pierwszą sylabę *Do* odrzucono, to założę się o konia z rzędem, że ta niewinna odmiana wcaleby autorowi do smaku nie przypadła.

»Przy ogólnéj bladości tekstów—prowadzi daléj »recenzent — nie mógł się muzyk zdobyć na jakieś »wyrażenia charakterystyczne, a zdobywając się na »nie, nic nie powiada nowego i fałszywie stosuje to, »co mówi. Jak można np. dobrać poważne, uroczyste, »przerażające tremolando do wezwania do wiosny? »Jak można komponować muzykę do śpiewu, a mieć »tak słabe, jak p. Janowicz, poczucie rytmiczne języka »—nie wiedzieć, że zgłoski długie wymagają mocnych »części taktu? Wykroczeń przeciw temu naturalnemu »prawu, nie potrzeba mozolnie szukać w piosenkach, »o których mówimy; dosyć wziąć do przejrzenia jedną

»z nich np., *Wiosnę*, a co wyraz prawie się je »spotyka«.

Czym się zdobył na co charakterystycznego, czy muzykę do tekstu fałszywie zastosowałem, o tém niech sądzi każdy wedle własnego pojęcia; ale żeby tremolanda nie można było zastosować do wezwania do wiosny, to znowu trąci ustawami byłego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Podług mnie, stałych w tym względzie reguł narzucać się nie godzi, zwłaszcza w muzyce, któréj formy i wyrażenia wedle żadnego z objawów natury kontrolowane być nie mogą, polegając na nieokreśloném uczuciu, i z niego wypływając bezpośrednio. Łabędź np., odmalowany zielono, dałby nam zupełne prawo do wnioskowania, że malarz fałszywie kolor zastosował, gdyż podobnego ptaka przyrodzenie dotąd jeszcze nie wydało; ale w muzyce rzecz się ma inaczéj. Tu wszystko w naturalne i piękne się zmienia, skoro prawdziwy talent dotknie go swém berłem magiczném. Żem źle lub nie w miejscu użyć mógł owego tremolanda, temu bynajmniéj nie zaprzeczam; chodzi mi tylko o zasadę recenzenta ogólnie wyrzeczoną. Co zaś do słabego

poczucia rytmiczności, o jakie jestem obwiniony, to niech mi wolno będzie zapytać, jakby szanowny recenzent poradził sobie z tekstem *Wiosny*, aby uniknął błędów, które mnie zarzuca? Odpowie zapewne, że słabą zgłoskę postawiłby na odbitą, i z mocnéj taktby rozpoczął; ale w takim razie musiałby całkiem inną dorobić melodję niż ta, jaka zdała się autorowi najlepiéj do owych wierszy przypadać. Ztąd oczywisty wniosek, że kompozytor winien wyrzec się swéj myśli jedynie dla taktowego akcentu, który nie jest *sine qua non*, podobnie jak wszystkie reguły w muzyce, który może za pomocą pewnych znaków, przechodzić na każdą część taktu lub ustępować z całéj nawet sztuki muzycznéj. Trzymanie się ścisłe prawidła, że długie zgłoski wymagają mocnych części taktu, poświęca muzykę dla poezji lub dla muzyki poezję; a podług mnie, idzie właśnie o to, aby te obie siostry ustępowały sobie nawzajem dla tém ścislejszéj z sobą harmonji. Niech tylko kto sprobuje uniknąć zarzuconych mi błędów, a doświadczy, że gładki—jak go recenzent nazywa—wierszyk *Wiosna*, zmieni się w kalekę chromiącego na nutach akcento-

wanych. Mówię to nie dla tego, abym melodję moją uważał za najstosowniejszą; chcę jedynie, żeby każdy z początkujących kompozytorów przekonał się, iż nie masz reguły bez wyjątku, i że z tego punktu patrząc na rzeczy, łatwo dójdziemy do wniosku, że nawet p. Redaktor Ruchu Muzycznego nie samych tylko doskonałości może być propagatorem.

»Pomysły p. Janowicza — kończy recenzent — »dosyć są gładkie, *ale* bezsilne; harmonja dobra, *ale* »bezwładna; faktura potoczysta, *ale* śpiąca; słowem »nic prawie złego, *ale* wszystko okropnie nudne. »Opus 2-gie jego nie prędko powinnoby się *okazać*, »jeżeli większą jak 1-sze ma mieć zasługę«.

Otóż widzimy najoczywiściéj, jak recenzent ścisle przeprowadził do końca swą wspaniałomyślną wyrozumiałość! szkoda tylko, że właśnie pod koniec obwinął ją w tak eteryczne metafory, iż rozum podobnego mnie profana nic wywinąć z nich nie potrafi. Wyrażenia: gładkie, *ale* bezsilne; dobra, *ale* bezwładna; potoczysta, *ale* śpiąca — jak z jednéj strony zamykać mogą bezdenną głębokość krytycznego poglądu, tak z drugiéj znowu, pełne poetycznego pierwiastku,

mogłyby posłużyć za tekst do piosenki, gdyby był autor ułożył je z właściwą sobie biegłością rytmiczną. Co zaś do przeczucia o nieprędkiém ukazaniu się drugiego mojego opus, to już podobno nie mnie, lecz wydawcom moim ma służyć za igłę magnesową. W każdym jednak razie winienem złożyć me dzięki za tak wszechstronną troskliwość, która jako korona tak jasno okazanéj mi wyrozumiałości, na tém większy szacunek zasługuje z méj strony.

Odpowiedź ta, tak lekceważąca autorytet p. Sikorskiego, nie mogła oczywiście usadowić się w szpaltach Ruchu Muzycznego, bez należytéj z jego strony reprobacji. Ugarnirował ją przeto najtroskliwiéj dopiskami, z których ostatni (poprzednicze zaś wszystkie znajdzie czytelnik zacytowane w następnéj odpowiedzi p. Janowicza) kończy się témi pełnemi pokory chrzescjańskiéj słowy: »Wdzięczni jesteśmy p. »Janowiczowi za wiarę w naszą b e z s t r o n n o ś ć, »skoro nam swój artykuł do zamieszczenia przesłał.

»Gotowiśmy na okazanie jéj zawsze i każdemu, pro-»simy tylko, by i nam także wolno było mieć zdanie«.

Polegając na tém oświadczeniu p. Janowicz, wygotował następujące

ROZWIĄZANIE

niektórych kwestij wypadłych z Antirecenzji umieszczonéj w N. 50 Ruchu Muzycznego z roku 1861.

Składając najpokorniejsze dzięki za umieszczenie odpowiedzi mojéj w kolumnach muzycznego tygodnika, wyznaję, iż co dotyczy dosłownego jéj wydrukowania, to z téj strony ustać muszą wszelkie zarzuty; ale za to tak pracowicie opleciono ją w dopiski, że zestawiwszy je ze spornemi punktami, czuję się w obowiązku wyrzec jeszcze słów kilka w tym względzie. Cytuję więc najprzód słowa odpowiedzi mojéj, a następnie zarzuty p. Redaktora.

Odpowiedź: Znosiłem spokojnie rozmaite ztąd i zowąd napady w nadziei, że te ustąpią wreszcie sumiennéj a bezstronnéj krytyce, do jakiéj ludzie myślący tęsknią u nas oddawna.

Dopisek: Ciekawibyśmy byli wiedzieć, gdzie to prócz w piśmie niniejszém, napadnięto na autora niniejszéj repliki, i czemu za jednym zachodem nie odparł zarzutów wszystkich arystarchów? Chyba że wszystkie ich opinje, co do kompozycij autora téj odpowiedzi są zgodne?

Mówiąc o arystarchach, nie miałem na uwadze samych tylko arystarchów muzycznych, i kto bez uprzedzenia odczytał mą odpowiedź, ten przyzna zapewne, że powyższe jéj słowa odnoszą się do krytyków w ogólności, o czém wyrażenie: *rozmaite ztąd i zowąd napady*, przekonywa najdowodniéj. Że zaś p. Redaktor nie wie lub nie chce wiedzieć, że jeden i tenże sam człowiek pracować może nie na jedném tylko polu muzyczném, przeto nic dziwnego, że nie wie i o napadach, jakie go z téj strony dosięgły. A ponieważ te ostatnie jako czysto literackie, nie mogły wejść do pisma wyłącznie muzyce poświęconego, zatém tłumaczy się samo przez się, dla czego, według wyrażenia p. Redaktora, *nie odparłem za jednym zachodem wszystkich arystarchów*, i wspomniałem o nich nawiasem, nie przekraczając granic

Muzycznego Ruchu. Z całego też tego zarzutu usprawiedliwiam się również nawiasem, gdyż on więcéj osobistości mojéj, niżeli muzyki dotyczy.

Odpowiedź: Czy doprawdy szanowny recenzent jest tego przekonania, że owe zalety w podanéj przez niego recepcie na nowych kompozytorów, same przez się, ba nawet oddzielnie wzięte, są już dostateczną na kompozytora kwalifikacją? Mnie się zdaje, że ani samodzielność wyrażeń muzycznych, ani oryginalność faktury, nic jeszcze nie stanowią, skoro myśl niemi objęta, jest płaską lub jałową, i lubo mogą mieć wagę przy prawdziwym talencie, wątpię wszakże, aby go zdołały zastąpić.

Dopisek: W recenzji nie powiedziano, że zalety, które wymieniono jako cechujące kompozytora (nowego i dawnego), same przez się, albo nawet oddzielnie wzięte, wystarczą na uznanie go kompozytorem. Potrzeba jeszcze wiadomości techniczn(é)j i wprawy. Ten ostatni przymiot przypuszczając, możnaby jeden z tamtych, szczególniéj samodzielność pomysłów (?) i oryginalność faktury za cechy kompozytora przyjąć,

bo one są dowodem talentu, a pomysł nacechowany jednym z nich, nie może być płaskim lub jałowym.

Widzimy tu najoczywiściéj, że p. Redaktor wyparł się połowy swego zdania; w recenzji bowiem stoi wyraźnie: »Zdawało się nam, że w przyszłych »utworach p. Janowicza znajdziemy coś, popierającego »drobniuchne wskazówki dobrego smaku, charakte- »rystyki, a może i samodzielności jakiéj wyrażeń mu- »zycznych, jakąś przynajmniéj oryginalność faktury. »Bez *jednego* z tych przymiotów bowiem, nie rozu- »miemy kompozytora«. Czyliż *vice versa* nie wyjdzie na tož samo, że *jeden* z tych przymiotów wziętych oddzielnie (rozumie się, że *oddzielnie*, kiedy jeden) może być dostateczną na kompozytora kwalifikacją? Przecież p. Redaktor zapewnia, że w recenzji jego tak nie powiedziano, i samodzielność *wyrażeń* muzycznych zamienia na samodzielność *pomysłów*. Naturalnie, że przy takiéj zmianie zamilknąć musi wszelka w téj mierze protestacja, ale też wyznać należy, że między samodzielnością *wyrażeń* a samodzielnością *pomysłów* zachodzi nie mała różnica. Co zaś do drugiéj połowy zdania p. Redaktora, że przy techniczněj

wiadomości i wprawie, pomysł samą tylko oryginalnością faktury nacechowany, nie może być płaskim lub jałowym—to temu znowu zaprzeczę stanowczo. Zajrzyjmy tylko do *Doręcznika Muzycznego*, a ten nas oświeci, że faktura *patrio sermone*, znaczy: »sposób »mniéj więcéj naukowy układania czyli komponowania »muzyki,« *) Że zaś układ najjałowszych myśli może być oryginalnym, to zdaje się nie podlega wątpliwości, zwłaszcza przy tak mnogich przykładach w kompozycjach dzisiejszych renowatorów muzyki, którym trudno zaprzeczyć wiadomości technicznéj i wprawy, a którym pomimo to żaden sumienny znawca tytułu kompozytorów nie przyzna. Zresztą p. Redaktor nie właściwie użył wyrazu *faktura*, mówiąc o moich malutkich piosenkach; wyraz ten bowiem dotyczy bardziéj harmonji, niż melodji, i odnosić się może tylko do utworów na większą skalę, np. symfonji, oratorjum

*) »Słownik abecadłowy treści zawierający i używańsze w muzyce wyrazy i wyrażenia tekstem nie objęte (?)«. Kar. 289.—Podług jakiej to grammatyki. ?!

U. W.

i t. p.; — na to przynajmniéj zgodził się cały świat muzykalny, chociaż *Doręcznik Muzyczny* nic o tém nie wspomina.

Odpowiedź: Samodzielność, charakterystyka, oryginalność i t. p. przymioty są tak względne i nieokreślone, że ich nie zdefinjuje najwprawniejsze pióro najwytrawniejszego recenzenta. Sąd o tém należy do publiczności, która chociaż pozornie przyjmuje narzucane sobie zdania, jednak postępowaniem swojém najczęściéj im zaprzecza.

Dopisek: A na czémże się opiera publiczność, jeżeli nie podobna nic wiedzieć, ani dowieść czegokolwiek?

Słowo *wiedzieć* nie ma żadnego związku z powyższém mojém twierdzeniem; nie utrzymuję ja bowiem, że *nie wiedząc*, można dowieść czegokolwiek, ale że częstokroć nawet o tém, co nam się zdaje że *wiemy*, trudno jest innych przekonać; że jeżeli zdanie nasze o jakimbądź np. utworze muzycznym będzie czysto indywidualne, w takim razie przy nas ono tylko pozostanie, a choć na czas jakiś zdoła omamić publi-

czność, to ta prędzéj czy późniéj sprawiedliwy sąd swój wyda, skazując zdanie owo na zapomnienie, a potępiony niém utwor zaszczycając współczuciem. Na czém zaś publiczność opiéra się w tym względzie, tego nikt jeszcze zbadać nie potrafił; dość na tém, że wyroki jéj bywają zawsze niemylne, bo gromada— wielki to człowiek. Nie wynika ztąd bynajmniéj, abyśmy mieli zapierać się osobistego przekonania; twierdzę tylko, iż nie godzi się polegać na sobie bezwarunkowo: *errare humanum est*, a my wszyscy ludźmi jesteśmy.

Odpowiedź: Nie wdając się w rozprawę o smaku, o którym *non est disputandum*, jak nie bez zasady twierdzi dawna przypowieść, powiem tylko, że jeżeli tekst do moich piosenek nie odpowiada indywidualnemu usposobieniu recenzenta, to jeszcze nie upoważnia go bynajmniéj nazywać autora muzyki do nich propagatorem *obmierzłych* pomysłów.

Dopisek: Przypowieść mówi o gustach, upodobaniach, ale nie o smaku estetycznym, który w całym świecie jedną i tąż samą cywilizacją rządzonym

(np. europejską wschodnią i t. d.), jest jednakowy, rozumie się u ludzi mających smak *).

Przeciwko temu—ani słowa; ale niech mi będzie wolno zapytać, czy już zdobyliśmy niemylne kriterjum, podług którego moglibyśmy kierować indywidualnym smakiem, i wykroczenia jego przeciwko ogólnemu wytykać z taką pewnością, jak błędy w matematycznem zadaniu? O ile mi wiadomo, najznakomitsi estetycy nie doszli do żadnego w téj mierze pewnika, a wszelkie ich z tego względu formuły wyciągnięte z łożnych faktów, i zbite naprędce obręczą czczych rozumowań, upadają co chwila przed nowemi objawami ludzkiego ducha. Gdy zatém pewną jest rzeczą, że smak estetyczny kształci się nie na teorjach, ale na

*) A jakiż to *smak* miał p. Redaktor na względzie, gdy zbijając zdanie pana Mireckiego (Ruch Muzyczny z roku 1861, № 4, kar. 51), powiada: »Kiedy autor broszury »twierdzi, że harmonja (jakiejś nakładowéj piosenki Re»dakcji Ruchu Muzycznego) jest dzika, że to jest gmatwa»nina niezgrabna i t. d.; to rzecz więcéj *smaku*, niż nauki, »a *de gustibus non est disputandum?«* Jakżeż to pogodzić z dopiskiem zacytowanym przez p. Janowicza?... Prosimy o wytłumaczenie!

U. W.

produkcjach twórczéj fantazji, to już témsamém musi mu wzorów przybywać, co oczywiście nigdyby być nie mogło, gdyby produkcje owe oceniać chciano podług pewnéj konwencjonalnéj taryfy. Jeżeli w czém, to zaiste w sądzie o utworach smaku należy być bardzo oględnym, i nie potępiać bezwarunkowo tego, co z jakąś efemeryczną teorją nie licuje. Za to więc, że ktoś nie tak jak inni wyraził swe uczucie; że zamiast np., kazać lecieć ptakóm z drzewa na swojém grobie z pozdrowieniem do kochanki lub t. p., przesyła jéj swą czaszkę — symbol ziemskiéj znikomości i wiecznego życia za mogiłą — za to, powtarzam raz jeszcze, nie godzi się, wyszukając w białém same tylko plamy czarne, nazywać piosenkę *Czerep* propagandą *obmierzłych* pomysłów.

Odpowiedź: Czyliż kompozytor winien wyrzec się swéj myśli dla taktowego akcentu, który nie jest *sine qua non*, podobnie jak wszystkie reguły w muzyce?

Dopisek: Co to za wygodna teorja!

Nie wdając się w rozprawę o jéj dogodności, rozkryjmy tylko *Doręcznik Muzyczny*, a na karcie 152 i następnéj wyczytamy następujące zdanie: »Samo

»*despotyczne* wyrażenie: *zakazane*, nie dowodziż »braku poglądu artystycznego? Cóż może bezwarun»kowo być złe w sztuce? Wszakże wszystkie jéj »środki powinny być zostawione do wolnego wyboru »artyście, byle ich używał we właściwém miejscu i »czasie; inaczéj będzie to *sztuczność* nie *sztuka*«.— A ja w odpowiedzi mojéj nie dowodziłem bynajmniéj, żem w niewłaściwém miejscu i czasie nie mógł użyć téj wolności; protestowałem się tylko przeciwko zdaniu p. Redaktora wyrażonemu *despotycznie*.

Odpowiedź: Trzymanie się ścisłe prawidła, że długie zgłoski wymagają mocnych części taktu, poświęca muzykę dla poezji lub dla muzyki poezję, a podług mnie, idzie właśnie o to, aby te obie siostry ustępowały sobie nawzajem dla tém ściślejszéj z sobą harmonji.

Dopisek: P. Janowicz zapomina, że mowa i muzyka z tych samych składają się pierwiastków, a rytmicznym (o którym właśnie mowa) więcéj jeszcze niż tonowym bratają się z sobą. Niewątpliwe i to, że p. Janowicz nie czytał, cośmy z tego powodu tyle razy mówili — o co mniejsza — ale także nic, co

o tym przedmiocie stu przynajmniéj pisarzy znakomitych mówiło, a przynajmniéj nasi: Nowaczyński, Królikowski, Elsner; że chyba nie przeszedł żadnego kursu kompozycji wokalnéj—i że mimo to daje teorje niezgodne z *postępowaniem* wszystkich lepszych kompozytorów, a nawet najsłabszych, nawet niegodnych tego nadużywanego tytułu — albo że powszechnemu zapierając zdaniu, musiał sobie wyrobić na tę sprawę pogląd i umie go poprzeć dowodami. Prosimy zatém o oświecenie nietylko nas, ale i całego muzykalnego świata, zaręczając, że dla takiéj nowości każde z pism, choćby się modami zajmowało (?), kolumny swe otworzy — témbardziéj Ruch Muzyczny, jeżeli go p. Janowicz za godny siebie organ uznać raczy.

Skoro tylko p. Redaktor poczytuje za nie wątpliwe, iż nie przeszedłem żadnego kursu kompozycji wokalnéj, więc nie zdziwi się zapewne gdy powiém, że już teraz wcale nie rozumiem jego zarzutów dotyczących wykroczeń moich przeciwko rytmiczności. Wszakże choć nie czytałem pism, które tu przytoczył, potrafię może dójść o co mu chodzi, jeśli zechce objaśnić w czém ów błąd leży mianowicie. Nim

to jednak nastąpi, postaram się w jego własnych utworach wskazać mu podobne uchybienia, jakie mnie zarzuca, nie dla tego żebym utrzymywał, iż my oba tylko takowe popełniamy, jedno aby nie mieszać tu imion postronnych. Owoż np. w *Koniku* w takcie 5, 9 i 17, krótka zgłoska wyrazu: *ga–lop* przypada na nutę akcentowaną, a przepołowiony między 10 a 11 taktem wyraz 3 ciéj strofy *So-bie*, również krótką zgłoską pada na akcent taktowy; podobnież w takcie 12 i t. d. Jeżeli nie dość na tém, to przepatrzmy jeszcze w piosence p. t. *Krzyż Sieroty* takty 7, 9, 21, 22, 24, 29, 35, 39, 45, 57, 75, 88, a przekonamy się, że nie tylko ten, co nie czytał o rytmiczności, ale i ten nawet, co o niéj pisze, nie jest wolnym od błędów, za jakie innych potępia. *Medice, cura te ipsum!*

Szydząc wreszcie powiada p. Redaktor: »Jak też »to p. Janowicz dopomina się o wyrozumiałość«!

Tak jest; dopominam się o nią wistocie, bo nie sądzę się doskonałym, bo wiem, że każdy z ludzi zarówno jéj potrzebuje. Krytyka bez wyrozumiałości jest tém samém w moralnéj sferze, czém w fizycznéj

szkaradne tortur narzędzie; nie prostuje ona, lecz kaleczy i zabija—obudza dumę, przekorę, zarozumienie, zgoła te wszystkie nieszczęsne namiętności, przy których najpotężniejszy nawet talent ani na chwałę Bogu, ani na pożytek braciom nie rozkwitnie. Kończę replikę niniejszą szczerém życzeniem, aby ci, których powołaniem jest oceniać produkcje umysłowe, dali się przekonać, iż tak zbyteczna pobłażliwość, jako też i najsurowsza podług naszego pojęcia sprawiedliwość, są równie szkodliwemi w ich zawodzie. Bo człowiek bezwzględnie sprawiedliwym być nie może, a jeżeli mniéjwięcéj podnosi się kiedy w téj mierze do ideału, to zaiste nie dzieje się to przez nic innego, jedno przez chrześcjańską cnotę wyrozumiałości.

Dla uzupełnienia téj repliki rozbiorem jednego redaktorskiego żarciku, dodałem do niéj od siebie następujący

DOPISEK.

Ofiarowaną wspaniałomyślnie przez p. Redaktora gotowość do ogłoszenia w piśmie swojém nowéj teorji

muzycznéj p. Janowicza, téj mianowicie, która do używania w pieśni sentymentalnéj uroczystego tremolanda i lekceważenie znanych o muzykalnéj prozodji mowy naszéj prawideł upoważnia, uważając za nic więcéj, jak za zbawienne przesilenie złego humoru krytycznego, śmiemy tu oświadczyć, że pomimo żartobliwości onego frazesu, pan Janowicz, o ile go dotąd w dorywczych o téj i owéj rzeczy muzycznéj pogadankach zbadać mogliśmy, ma istotnie własne swe idee o empirycznym i duchowym związku poezji z muzyką i o koniecznych warunkach dobréj kompozycji. Któż wie, czy ogłoszenie tych idei w formie dobrze obmyślonego dzieła teoretycznego, nie przydało by się w czasie, kiedy tyle fantastycznéj gmatwaniny i nonsensów pseudo-artystycznych pretensij postrzegać się daje w robotach na polu ojczystéj muzykalności! Nie znalazł się jeszcze, ktoby na tém polu zatknąwszy sztandar iskrzący się godłem odrodzenia, wyrzekł poważnym głosem Adama: »Martwe znasz prawdy nie znane dla ludu! »Poczucie jednak anormalnego stanu, poczucie błahéj, krzywéj albo egoistycznéj dążności, objawiające się coraz donośniéj w mowie i w pismach

myślących jednostek, rodzi w sercach naszych błogą nadzieję, że niezbyt dalecy jesteśmy chwili wejścia w nowe artystyczne stadjum. Już nietylko na wyżynach filozofizmu, w sferach głębszego uniwersalnego myślenia, ale i na poziomie realnego bytu, prawie we wszystkiém co nas otacza i zasila, czuć się daje najdotykalniéj ten pierwiastek, co nas ma odrodzić duchem ku naśladowaniu najszczytniejszego wzoru doskonałości. Ileż to w dzisiejszych pismach czasowych natrafiamy prześlicznych zdań, myśli i obrazów, które nie zkądinąd, tylko ze słonecznéj operacji tych nowych idei powstały! Po wszystkich większych i mniejszych mrowiskach intellektualnych rozwinięta na wielką skalę czynność badawcza, coraz okazalsze zdobywa materjały. Zastanawiając się nad tém nie bez uczucia wyższéj rozkoszy, czyliż możemy być posądzeni o czcze rojenia i budowanie zamków na lodzie, gdy powiemy, że mógł już w nasze czasy urodzić się człowiek, który chrztem swojéj idei utoruje naszéj społeczności drogę do wyzwolenia się z teoretycznych więzów dawnego porządku? Prawda, że wstecznicy wszelkiéj nowości, ci faryzeusze wiecznie

zadowoleni spuścizną swych ojców, przyjmują najobojętniéj świeżych pragnień, świeżego życia zjawiska; prawda, że wiara ich w doskonałość staréj rutyny niczém się osłabić nie da; ale czyż dla tego jednostkom ożywionym przeczuciem niewidomego dotąd dobra i piękna ma braknąć siły do wytrwania na drodze postępu? Chmury żywiołów ujemnych rozrywają się coraz widoczniéj pod wpływem Bozkich promieni Nowego Zakonu; oblicze prawdy we wszystkich gałęziach wszechwiedzy coraz potężniéj pociąga ku sobie miłośników trudu; nie płonném więc widmem musi być ta przyszłość, co nasze serca do uroczych nieziemskich słodyczy usposabia. Przyjdzie zwiastun upragnionego przez wszystkich sztukmistrzów absolutu, przyjdzie i zanuci pieśń, jakiéj dotąd jeszcze żadne ucho ludzkie nie słyszało, a wtedy wszelkie z pychy i samolubstwa rodzące się swary umilkną na zawsze, i niezgoda z całą swoją czeredą piekielną precz odleci; dłonie zaś najzaciętszych przeciwników jak tony różnego stopnia i mocy w wielkiéj orkiestrze, splotą się z sobą węzłem miłośnego akordu. Wieszczba nieomylna! *Qui vivra, verra.*

Jednocześnie z powyższym dopiskiem skreśliłem

POBIEŻNE UWAGI

NAD 1-SZÉM DZIEŁEM MUZYCZNÉM

P. ANDRZEJA JANOWICZA,

z powodu recenzji na nie umieszczonej w №. 34 Ruchu Muzycznego z roku 1861.

Prosimy tylko, aby i nam wolno było mieć zdanie.
J. Sikorski. № 50. R. M. z. r. 1861.

Nie wiem jak u kogo, ale u mnie najlepszym probierzem wartości każdego utworu muzycznego jest uczucie, jakiego się doznaje przy pierwszém jego, wolném od wszelkich ubocznych wpływów i prezumpcji wykonaniu. *Mihi Galba, Otto, Vitellius nec beneficio, nec injuria cogniti.* Ani mi bratem, ani swatem nie jest p. Janowicz. Przed ogłoszeniem, ba nawet po ogłoszeniu dzieła jego (Sześć Piosenek z towarzyszeniem fortepjanu), którego rozbiór sumienny choć dorywczy obecnie przedsiębiorę, znałem p. Janowicza jak tylu innych naszych, literatów; znałem z czytania

jako autora *Jedynaka*, *Wilkołaków*, i niewydanéj jeszcze (z powodu zostawania *in carcere duro* w redaktorskim portfelu p. Aleksandra Niewiarowskiego) powieści p. t. *Poeta i Muzyk;* a czyż taka znajomość nie jest podnietą największą do wymagania od puszczającego się w nowy zawód kompozytora, by prace jego mogły przynosić zajmującym się uprawą muzyki estetyczne zadowolenie? Mam niejakie wyobrażenie o potędze warunków zniewalających niekiedy najpotężniejszych myślicieli do jednostronności i pobłażania: ogniwa kuzynowstwa, kamraderji i osobistéj zażyłości nadto bywają silne, aby się przez nie nie usposobić do pochlebstwa zamykającego oczy na najbardziéj nawet rażące wady czy to literackiéj, czy artystycznéj produkcji. Wszakże gdy moje stosunki z p. Janowiczem wolne są od wszelkich więzów rodzinnego i towarzyskiego powinowactwa, tém snadniéj przeto będę mógł pozyskać wiarę, że sąd mój o jego 1-szém dziele muzyczném, jest wyrazem saméj prawdy, o ile ta w szczerości indywidualnego uczucia przejawić się może.

A najprzód wybaczy mi szanowny Redaktor

Ruchu Muzycznego, gdy powiem, że zdanie jego o tych *Sześciu Piosenkach* p. Janowicza, skreślone pod wpływem nadto widocznéj urazy do autora, ma minę takiéj szczerości, jaką się rządzić zwykły indywidua mające na celu *ante omnia* swój osobisty interes. Z samego zakroju téj krytyki urzędowéj widać, że zamierzono zganić z kretesem początkowe kompozycje p. Janowicza, a przynajmniéj uznać je za trywjalne, nie mogące mieć w oczach artystów żadnego znaczenia. Pomimo jednak lekkości tego zamiaru, ciężko jakoś uskutecznić go przychodziło. Widzimy, że przy najskrupulatniejszym przeglądzie piosenek p. Janowicza, niepodobna mu było nie przyznać dobrego smaku muzycznego; ostatnie zaś słowo téj krytyki, gdy wszystkie cieniujące go *ale*, jako z wiadoméj nam apriorycznéj chrapki wynikłe, zostawimy na stronie, dowodzi najwymowniéj, że przez najgrubszą nawet mgłę złego humoru łacno się przebija to, co jest w utworze dodatniego. Powiedziano w téj krytyce wyraźnie: »Pomysły p. Janowicza dosyć są gładkie, harmonja »dobra, faktura śpiewu i przygrywek (akompaniamentu) »potoczysta; słowem nic prawie złego.« Wypadałoby

ztąd, że przy takich zaletach idei i kompozycji, piosenki p. Janowicza mogą się podobać każdemu, kto śpiewać lubi; tymczasem ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, czytamy w konkluzji, że one są *okropnie nudne*, że nie masz w nich *ognia, siły pomysłowości*, słowem nic z tego, co cechuje *wyższe techniczno naukowe wykształcenie*, i że dla tego jeszcze długo należy pracować p. Janowiczowi, nim się odważy wystąpić publicznie z drugiém swojém dziełem! Czego podobna chryja naucza i do czego prowadzi, odpowiedział już na to dostatecznie sam p. Janowicz, któremu, pewny jestem, przy tworzeniu tego dzieła więcéj chodziło o zaspokojenie uczutéj sercem potrzeby, a tém samém wywiązania się względem gorąco umiłowanéj sztuki z długu, niż o jakąkolwiek afirmatywę gazeciarską. Tak przedstawiwszy niefortunny zamach na zabicie u nas nowego talentu muzycznego, śmiało wyznaję, że wszystkie *Sześć Piosenek* p. Janowicza w 1-szém dziele jego zawarte, zupełnie mi się podobały. Każda z nich ma sobie właściwy powab artystyczny, i całym swym składem wskazuje, że poczętą została z jaźni pojmującéj istotę duchowego piękna. Co do № 1-go,

może się to komu dziwném wyda, że ilekroć śpiewam *Gwiazdkę* p. Janowicza, zawsze prawie dodać do niéj muszę *Dwie Zorze* p. Moniuszki—ja w tych utworach instynktowie upatrzyłem pokrewieństwo ściślejsze nawet nad te, jakie z tożsamości rytmu i tonacji wynika, i zdaje mi się, że kto téj mojéj mieszaniny sprobować zechce, ten mię o nieznajomość chemji muzycznéj nie posądzi. № 2-gi *Już jesteś moją*, prawdziwe cacko artystyczne, pełne uczuciowéj ekspresji, przypomina mi również od wielu już lat śpiewaną *Łzę* p Moniuszki—styczność naturalna, bo w obu tych pieśniach siłę rzewnego męzkiego uczucia wybornie oddaje muzyka. Piosnka pod № 3-cim samym swym tytułem nastraja do żalu i melancholji. Zwracając się zawsze do p. Moniuszki, jako do najlepszego u nas wzoru wokalizawania wszelkich utworów poetycznych, znajduję, iż tworzący melodję do *Czarnego Koloru*, musiał się nurzać w téj saméj głębi artyzmu, z któréj wydobytą została nuta do słów *Śpiewaka w obcéj stronie.* Pomimo różnicy o całą tercję między minorami D i F. zachodzącéj, bardzo sobie są pokrewne te dwie melodje, a komu w go-

dzinach smutku i utrapienia ciężko zapłakać przychodzi, ten w jednéj i w drugiéj znajdzie dostateczny bodziec do dziecinnego prawie rozrzewnienia. № 4-ty zawiera w sobie *Upominek*, tak naturalny w toku swych słów i tonów, jak gdyby był kapitalnie przepisanym z dawno już przez nas zużytego kancjonału; bo któż z nas przynajmniéj raz w życiu ideału swojego z nieba na ziemię nie sprowadził, a ukochawszy go w wybranéj przez siebie piękności, nie przemawiał do niéj tak samo, jak p. Janowicz mową i śpiewem! Wszakże pomimo takiéj pospolitości tematu, powtarzamy tę piosenkę zawsze z przyjemnością, jak powtarzać będziemy nie sto razy już śpiewane: p. Moniuszki *Cóż to za kwiatek zawsze zielony?* albo p. Komorowskiego *Serce serce, skąd to bicie?* W ostatnich dwóch N-rach mieszczą się piosenki najmocniéj dotknięte ostrzem krytycznéj broni p. Redaktora, a czy słusznie i z jakich mianowicie powodów, da się to zaraz widzieć. W № 5-tym figuruje *Czerep.* Przypadkiem zapewne, ale bardzo trafnie odgadł p. Redaktor, że kobieta co natchnąć była zdolna do takiéj poezji, musiała być czarownicą. Była nią rzeczywiście przed niewielu laty

pewna Hrabina, i to także prawda, że rozkochany w niéj poeta Leonard, tak jak i wielu innych zrujnowanych nader kosztowną u téj czarownicy służbą, dostał formalną od niéj dymissję. Fakt zaiste nie dość sprzyjający szczytnemu entuzjazmowi poety, ale czyż dla tego, że przedmiot najgoretszéj miłości Leonarda nie miał nic w sobie, coby na taką miłość zasługiwało, mamy ze wstrętem patrzeć na wszystkie jego dla téj miłości ofiary, i uważać za rzecz *obmierzłą*, że on i po śmierci nawet pragnie być pastwą oczu i myśli swéj kochanki? Choćby przypuścić, że jeden i drugi kieliszek madery był pobudką Leonardowi do zaimprowizowania tego romantycznego urywku, to i w takim razie nie masz tu nic, coby w duszy najtrzeźwiejszego nawet człowieka uczucie *obmierzłości* sprawić mogło. Pomnę gdy w roku 1856 podczas Kontraktów Kijowskich, dostał mi się obrazek fantastyczny p. Janowicza, świeżo tutaj, przez któregoś z jego przyjaciół (i nb. ukradkiem, mimo jego wiedzy) wydany, byłem prawdziwie zachwycony znalezioną w nim piosenką *Czerep;* towarzystwo nawet, w którém byłem, nie dawało mi pokoju, pragnąc jaknajczęściéj

delektować się dziarską tėj piosenki melodją. A czyż ten fakt nie świadczy o talencie muzycznym p. Janowicza? Już to w ogólności pieśni w rytmie polonezowym najbardziéj mi się podobają. Zabawa po naszéj sedenterji najmilsza, kiedy możemy nieco po izbie pod takt dziarskiego poloneza, *quasi* rycerskim poszastać się krokiem. Mało ja wprawdzie tych utworów wokalno-tanecznych posiadam, bo po jednéj tylko sztuce Kurpińskiego, Moniuszki i Stefaniego; ożywia mię atoli błoga nadzieja, że w tym repertuarze *Czerep* p. Janowicza nie będzie ostatnim. *Finis coronat opus;* właśnie numer 6–sty mieszczący w sobie *Wiosnę,* najpiękniéj mojém zdaniem, zaokrągla 1-sze dzieło muzyczne p. Janowicza. Wiersz prześliczny i nuta niemniéj udatna. Już tylko deklamując ten wiersz zwyczajnym głosem:

»Zaszumią potoki, zakipią, pobiegą
Ku stawom, ku rzekom z gór, z jarów wesoło,
Świat cudny, świat piękny wychyli z pod śniegów
Kwiatkami, trawkami ubrane swe czoło«

czujemy rosnące w sercu pełne błogości wzruszenie, nic przeto dziwnego, że natchniony pianista usiadłszy przy swoim instrumencie, gdy przyszło do tych słów:

»O wiosno! przyjdź wiosno, przyjdź kwiatów królowo!
Jak niegdyś, jak zawsze spłyń do nas śnie złoty!
Na skrzydłach miłości, nadziei, pieszczoty,
Z pieśniami, z kwiatami przyjdź kwiatów królowo!«

żywszą wibracją swego serca zmuszony był do użycia silnych, drgających akordów. Marnym więc jest tutaj zarzut co do niestosowności tremolanda. Również i nauczka o prozodji czy metryczności mowy polskiéj, mogłaby bez czyjéjkolwiek szkody pozostać w spiżarni p. Redaktora, przynajmniéj wtenczas, kiedy się traktuje o rzeczach muzycznych z p. Janowiczem, bo przecież on okazał nie jedną już pracą swoją, że jest osobą pełnoletnią, i nie należy do tych, którychby p. Redaktor potrzebował uczyć elementarza. Zresztą co do brzemienia, które spadło na barki p. Janowicza za odstąpienie w téj ostatniéj kompozycji od postulatów metrycznych p. Nowaczyńskiego i innych podobnych jemu mędrców, radziłem mu, aby jakąś cząstką tego bagażu podzielił się ze swą grzeszną po Euterpie bracią. Wszakże to i autor *Śpiewnika Domowego* nie miał na względzie jambów i trocheów wspomnionych prawodawców, kiedy układał muzykę np., do tego wierszyka:

»W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody.« i t. d.;

a sam p. Redaktor jakże to się sprawił pod względem longobrewy w swym *Koniku, Krzyżu Sieroty i t p.?..*

Na tém kończąc moje pobieżne uwagi nad 1-szém dziełem p Andrzeja Janowicza, oświadczam, że gdy to dzieło nosi na sobie niewątpliwe znamiona twórczego talentu, powinnością więc jest każdego dbającego o wzrost i krzewienie się ojczystéj sztuki, przyjąć je takiém sercem, jakiém się przyjmuje dar Boży. Co skutecznie zasila umysł powszednią troską nękany, co osładza gorycze, i najdzielniéj do wytrwania na ciernistéj drodze życia dopomaga, to zewszechmiar na sympatię ogółu zasługuje. Za takie też uważając szczegółowo wyżéj ocenione *Sześć i iosenek* p. Andrzeja Janowicza, głośno objawiam życzenie, aby ten młody *Maestro* nowém w takimże rodzaju dziełem jak najprędzéj nas obdarzył.

Po przesłaniu tych trzech artykułów (Rozwiązanie niektórych kwestij i t. d., Dopisek

i powyższe Pobieżne Uwagi) do redakcji już nie Ruchu Muzycznego, ale Pamiętnika Muzyczno-Teatralnego, odebrałem w d. 13 Stycznia b. r. od p. Sikorskiego list następnjący:

SZANOWNY PANIE!

Pańskiéj odezwy z powodu piosnek p. Janowicza, pochwalającéj je dla tego, że się panu podobały, postanowiłem nie drukować dla tego właśnie, że przyszła po ogłoszeniu odpowiedzi p. Janowicza. Wobec tak moich zarzutów, jak i odpisu autora piosenek, pańskie na egotyczności opierające się zdanie o nich, jest za słabe i nie ma ani ważności, ani interesu dla czytelnika. Więc jako redaktor, nie mogłem tego drukować i zbierałem się donieść panu o tém, ofiarując mu przesłanie tego artykułu do któréjkolwiek z gazet według pańskiego wyboru. To treść urzędowa naszego stosunku. Prywatna wiedzie mię do użalenia się na pańską i p. Janowicza niesprawiedliwość względem mnie; pomawiacie mię panowie o jakieś osobistości, o jakąś złość! a na czémże się opieracie? na mém zdaniu, czy na jego częściach,

które sobie tłumaczycie jako złośliwe mające dążności? Jesteście panowie w błędzie—ja wiem o tém. Że mimo mojéj świadomości wydrukowałem wyrazy p. Janowicza okazujące jego o moim charakterze zdanie, dałem dowód, że uznaję prawo sądu na mnie ludzkiego i o mnie—a dowód nie pierwszy i nie drugi. Mam więc także prawo niepożyteczne dla sporu artystycznego wyrazy wykreślić, gdy uznam za stosowne, istotę sporu zostawiając nienaruszoną. Heroizm, jakiegobym dowiódł podług pana, drukując to, co jest osobiste, inni znający nasz spór w całéj rozległości, wzięliby mi za nieudolność redaktorską. Więc tém mniéj przyzwoite mi się zdaje drukowanie pańskiego artykułu. Może inny redaktor inaczéj to osądzi; ofiaruję więc panu, jak mówiłem, przesłanie pańskiego artykułu według pańskiego rozkazu.

Ani pański dopisek do powtornéj repliki p. Janowicza kwalifikuje się do druku, dla tego, że niestosowny do prawdy strony sporne zajmującéj, chociaż sam przez się pełen jest prawd ogólnikowych. To tylko szermierka nieużyteczna (moje osobiste zdanie) zaciemniająca kwestję, bo jéj nie dotykająca w szcze-

gółach i kategorjach, do których spór zeszedł. Gdyby o kogo innego, a nie o mnie chodziło, to widzenie moje téj sprawy byłoby takie same, i te same byłyby powody odrzucenia pańskiego dopisku, choć, powtarzam, zawierającego kilka prawd ogólnych, napisanego z chęcią najpoczciwszą i gorąco. Każdy kij ma dwa końce, jak panu wiadomo; u pańskiego kija jeden tylko koniec widać, a gdzie tkwi drugi? tego żaden czytelnik nie zgadnie, ale dostrzeże, że tam jest główne *argumentum ad hominem*, i powiedziałby: znowu osobistość!

Nie chcę jéj zarzucać powtórnéj replice p. Janowicza, lubo woń jéj silną czuję—ani się jéj dziwię. Repliki są niebezpieczne pod tym względem, a my ludzie nie jesteśmy aniołami. Bóg widzi, że mię to kosztuje, że jako wójt w sprawie wójta sąd wydać muszę, ale powinienem, i wydaję niniejszém wyrok następujący: powtórnéj repliki p. Janowicza nie wydrukuję, chyba, że pozwoli poodcinać od niéj gałęzie do pnia kwestji ani pośrednio, ani bezpośrednio nie należące. Same piosenki p. Janowicza bez względu na ich wartość, stały się już materją podrzędną, ale wywiązały

się ze sporu o nich ważniejsze rzeczy, które wartę zatém roztrząsania. Szkoda, że p. Janowicz miesza je zwykle niepotrzebnie z pojmowaniem siebie jako pokrzywdzonego kompozytora, a mnie jako niesprawiedliwego, ba i zajadłego, krytyka. Zapomina, że ani on sam jako kompozytor, budować na tych piosenkach nie może całego gmachu zasługi artystycznéj, ani ktokolwiek zechce owe drobiazgi przyjąć za taką podwalinę. Ja pomny na to oboje, wolałbym, żeby p. Janowicz ograniczył się do zasad, o które się w pierwszéj replice opierając, zbijał moje zarzuty. Drugi raz toż samo już być nie powinno w druku, lubo w szermięrce ustnéj nie podobna tego uniknąć. Co zaś do zasad, tych p. Janowicz nie pilnuje, tylko potrąca o nie fantazjowaniem i nieużyteczną egotycznością. Moje dopiski dały powód do repliki powtórnéj—zasady główne sprawy dawniéj przeze mnie wprowadzonéj, zostały zapomniane, więc musiałem kontynować je niejako w dopiskach. Na tém powinienby być koniec—to moja opinja. Roztrząsanie zasad—to ale! Tylkoż że p. Janowicz nie łaskaw na nie; wynajduje drobiazgowe intencje, gdzie ich nie ma, i nigdy do dna nie dotrze. Jestże

to bowiem wyświecenie kwestji, robić mi zarzut sprzeczności mych opinij w *Doręczniku* i w recenzji pomieszczonych?—to mój błąd, jeżeli jest, ale jak stoi kwestja? Jeżelim ja źle podłożył wyrazy pod muzykę (w *Koniku i Krzyżu Sieroty),* to mój błąd, ale jak stoi kwestja? Jeśli p. Janowicz ma zasadę, jak pan utrzymujesz, to czemuż ją ogólnikiem o swobodzie artystycznéj zbywa? To piękne i prawdziwe, ale zastosowanie jestże bezwarunkowo dobre? Wszyscyż kompozytorowie żądający zlewu rytmicznego w mowie z muzyką, i dający na to jednostajne przepisy, nie mają słuszności, tylko p. Janowicz? Być może, ale niechże powie na czém się opiera, by sądzić o tém ludzie mogli.

Pan, coś tyle w swém życiu robił piórem, wiesz, że można rzecz obrócić jak się podoba, a znajdą się ludzie namiętni, choć poczciwi, dający się olśnić fajerwerkiem wyrazów. Replika p. Janowicza jest ich pełna (moja opinja); gdybym ja dołożył moich, a nie mógłbym inaczéj, dopókiby na pole czystych zasad mój antagonista nie zszedł, toby było puku i dymu co niemiara, ale nie rzeczy I na zasady położone

przez p. Janowicza, jeśli je położy, trzebaby odpowiedzieć, ale to byłoby pożyteczniejsze.

Konkludując, donoszę panu, że jeżeli p. Janowicz pozwoli mi objąć, co uznam za niedotykające zasad, to najtroskliwiéj wyszperam wszystko, co trącić będzie zasadą, i wydrukuję, choćby przeciw mnie mówiło, jak mówi istotnie. Od dopisków się wstrzymam, tylko pojęcie moje o naturze tego sporu objaśnię, a to dla tego, by uniknąć zarzutu, że otwieram szpalty polemice czczéj, nie poznawszy się na niéj. Gdyby p. Janowicz pragnął, bym mu przedstawił rękopism, jakbym go oddał zecerowi, to się téj roboty nie podejmę, przypuszczając, że byłaby daremną, gdyby się p. Janowiczowi nie podobała. Wolę żywcem oddać jego artykuł komu każe do wydrukowania.

Miałci pan dobrodziéj słuszność, że p. Janowicz ma talent i werwę pisarską. Żałuję, że z nich korzystać nie mogę, bo on sam na złe tych przymiotów używa, a to dla tego tylko, że sobie uroił, iż go chcę gwałtem sponiewierać, i pragnie mi taż samą odpłacić monetą. Rok temu mogła ujść jeszcze dziś nikt jéj nie chce (?).

Widzę po przeczytaniu téj całéj pisaniny, że ona panów nie przekona, że weźmiecie ją za hypokryzję i upozorowanie odmowy drukowania. Ale ponieważ wiem, że na dnie antagonizmu panów ze mną jest chęć docieczenia prawdy, więc i moje dokładam uwagi. Mógłem był sobie i panom ich nie spisywać, bo je wiemy i znamy, ale stało się!....

Kiedy tak na mocy logiki z jakiegoś D o r e c z n i k a *redaktorskiego wysnutéj, odprawiono nas z kwitkiem, i kiedy p. Janowicz zaciekał się w myślach nad konstrukcją owego* n a r z ę d z i a, *którego p. Sikorski używa do okrzesywania nadsyłanych sobie krytycznych artykułów—przyszła mi chętka dla poparcia naszéj sprawy, spróbować uczynności innego Dziennikarza. Spisawszy więc na nowo moje* P o b i e ż n e U w a g i, *przesłałem je p Kirkorowi z prośbą, aby je raczył umieścić w swym* K u r j e r z e; *ale po dość długiém oczekiwaniu odpowiedziano mi na mój list zwykłą formułą redaktorską:*

»Artykułu p. B. Dołęgi, jako specjalnie muzy-
»kalnego, z żalem drukować nie możemy.«

Następnie z Pobieżnemi Uwagami mojemi i z owym zbrakowanym przez p. Sikorskiego artykułem p Janowicza, udałem się do Dziennika Powszechnego z tą samą prośbą; ale i tu spotkała mię rekuza sformułowana w następujący sposób:

»Z najmilszą chęcią wypełnilibyśmy żądanie pa-
»nów, gdyby nie przepisy Dziennika, któremu
»wzbroniona jest wszelka polemika literacka.«

Tak tedy zostały nam odjęte wszelkie do usprawiedliwienia się z zarzutów sposoby, bo chociaż można było jeszcze próbować szczęścia u innych redakcij warszawskich, to wszakże nie potrzeba być prorokiem, aby zgadnąć bez próby, że to nie wieleby pomogło, że każda wymówiłaby się albo niemożnością prowadzenia polemiki literackiej, albo niepodobieństwem umieszczenia w swych szpaltach artykułów wyłącznie muzyce poświęconych. P. Janowicz uwiadomiony ode mnie o wszystkiém, co zaszło, i zapytany, co sądzi o téj sprawie i głównym jéj aktorze, odpowiedział mi listem następującéj treści:

SZANOWNY PANIE!

Z tego wszystkiego, czego dowiedziałem się z pism zakommunikowanych mi od pana, przychodzę wreszcie do przeświadczenia, iż łacniéj wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżeli prawdzie przekroczyć ów kordon graniczny, gdzie ją zwykle chwytają jako kontrabandę szkodliwą dla odbytu miejscowych wyrobów Dziwi mię tylko, że ludzie tak głośno rozprawiający o sumienności i bezstronności, o uszanowaniu dla cudzych przekonań i konieczności wyrobienia opinji publicznéj drogą otwartéj dyskusji, dozwalają tym pięknym teorjom przylegać tylko do martwéj bibuły, zamiast wcielać je w czyn i w życie. Są to jałowe morały podobne zupełnie do tych, jakie płatni guwernerowie powtarzają oficjalnie swym uczniom, w duchu zaś drwią z morałów i z uczniów, którzy znowu świadomi prowadzenia się guwernerów, drwią i z nich, i z ich morałów.

Na czém się skończą te drwiny, wieleby o tém mówić i pisać przyszło. Szkoda tylko, iż wszystko to byłoby iście grochem rzuconym o ścianę!.... to też

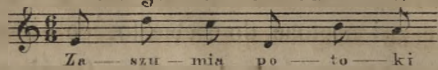
nie rozszerzając się w téj mierze, wolę wrócić do listu p. Redaktora Ruchu Muzycznego. Powiada on, że powtórna replika moja wonieje mocno osobistością, że wolałby, żebym się ograniczył do zasad, o które potrąciłem tylko fantazjowaniem. Czyż to było fantazją np. gdy zwróciłem uwagę na zmodyfikowanie połowy jego zdania: zamianę samodzielności *wyrażeń* muzycznych, na samodzielność *pomysłów?* Czyż i to równie jest fantazjowaniem, że niektóre z zarzutów p. Redaktora obaliłem własnemi jego słowy wiernie wypisanemi z *Dorącznika*, który będąc, podług słów samego autora, *narzędziem do obcierania pyłu nieświadomości z tych, co się mają za muzykalnych*, nie powinienby w głównych przynajmniéj kwestjach zawierać błędów, do jakich sam autor przyznaje się w zakommunikowanym mi od pana liście; a jeżeli już tak jest wistocie, to pocóż wystawiać na targ w każdym Nrze Muzycznego Ruchu ów *Dorącznik*, najniebezpieczniejszą tym sposobem propagandę *obmierzłych* pomysłów? O jakichże to znowu *głównych zasadach* sprawy wprowadzonych przez recenzję moich piosenek, a kontynowanych w dopiskach do mojéj

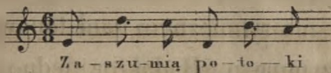
odpowiedzi, wspomina p. Redaktor, zapewniając przytém, iż o nich zapomniałem zupełnie? O ile sobie przypominam, odpowiedziałem wprost na uczynione mi zarzuty, w których prócz absolutnéj i na niczém nie opartéj przygany, żadnych *głównych*, ba nawet podrzędnych *zasad* nie mogłem dopatrzeć. Dopiero zakommunikowane mi przez pana pismo, naprowadziło mię na pewne w téj mierze poszlaki; dowiedziałem się bowiem że stanowisko redaktorskie daje prawo odcinać od artykułów części (zapewne trudne do strawienia), i że powtórna replika moja bez podobnéj amputacji drukować się nie powinna, a to dla téj jedynie przyczyny, aby ludzie *namiętni* nie posądzili redaktora o nieudolność (o którą on jednak może każdego posądzać publicznie). Tu już wprawdzie jasno przegląda *zasada*, wszakże bardzo dowolna, dowolniejsza nawet, niż moje postępowanie względem rytmiczności, z jakiego, powiada p. Redaktor, nie chcę się wytłumaczyć, *aby ludzie mogli o tém zdecydować*. Ale niech Cygani nawet osądzą, czy lekki ton recenzenta zasłużył na poważne usprawiedliwienie się z méj strony? czy ten, co mając siebie za Atlasa dźwi-

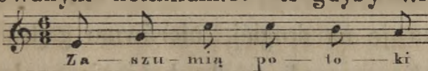
gającego na swych barkach wszechświat muzyczny, żartobliwie napędza do elementarza ludzi, których wcale nie zna, a którzy może najlepsze swe lata strawili w pracy nad sztuką, wyrzekłszy się dla niéj wszelkich faworów losu—czyż ten, powiadam, godzien jest czego innego, jedno aby go lekkim także szczutkiem jak natrętną muchę odpędzić? Zdaje mi się więc, że nie chybiłem bynajmniéj, gdy na zarzut, iż co do rytmiczności poczynam sobie niezgodnie z *postępowaniem* wszystkich lepszych, a nawet najsłabszych kompozytorów, nawet niegodnych tego nadużywanego tytułu, zasłoniłem się powagą Redaktora Muzycznego Ruchu, który z *postępowania* swojego względem technicznéj przynajmniéj strony sztuki, nie powinienby być niższym od najpośledniejszych; inaczéj bowiem cóżby go kwalifikowało na Redaktora? Nie wiele też dbam o to, gdy który z podobnych Atłasów osądzi mię za nieuka, ale przed panem radbym się bliżéj wytłumaczyć z pojęcia mojego o rytmiczności.

Wiadomo, że nierytmicznie, jakiemi są najczęściéj wierze polskie, trudno, a często nawet nie podobna

pogodzić z taktowym akcentem. Sam p. Redaktor Ruchu Muzycznego, jak to widzimy w *Koniku*, *Krzyżu Sieroty* i t. d., ba nawet najcelniejsi kompozytorowie nasi, poczynają sobie dowolnie w tym względzie, a to dla téj prostéj przyczyny, że inaczéj niepodobna. Ale p. Redaktor powiedziałby mi na to zapewne, że wiersz *Wiosna* jest właśnie ściśle daktyliczny, a ja pomimo to, wykroczyłem przeciwko *naturalnemu prawu* rytmiczności. Nie rozumiem dobrze, co p. Redaktor nazywa prawem naturalném, bo jeżeli odnosi to do taktowego akcentu, to radbym go przekonać, że się myli szkaradnie. Prawo akcentowania *długich* zgłosek może się nazwać naturalném tylko w stosunku do mowy, która bez tego straciłaby właściwy swój charakter, i stałaby się nawet niezrozumiałą; ale jakaż jest w muzyce racjonalna potrzeba ścisłego zachowywania taktowego akcentu, który, jak już namieniłem, może za pomocą pewnych znaków przechodzić ustawicznie na każdą część taktu, lub ustępować nawet z całych sztuk muzycznych, a który zatém nie jest obowiązującym bezwarunkowo? Zresztą mijając owe znaki, czyż pewna budowa melodji sama

przez się nie zdoła taktowego akcentu zneutralizować? Gdybym np. tak: 

albo tak: 

napisał, to czyż nuty wyższa i dłuższa nie przyswoją sobie taktowego akcentu, odbierając go niższéj i krótszéj, lubo akcentowanym nominalnie? A gdyby wreszcie i tak było: 

jaką też jest melodja moja do *Wiosny* potępiona przez p. Redaktora, to czyliż i w tym razie sam dźwięk mowy nie wskaże, na którą tu nutę akcent padać powinien, a prawo naturalne nie przemoże reguły konwencjonalnéj? Grzeszy ten tylko, kto krótkiéj zgłosce daje większéj wartości, niżeli długiéj, nutę, albo tak melodję prowadzi, że krótkie zgłoski muszą być *volens nolens* akcentowane i przeciwnie, bo tym sposobem parodjuje się mowa, która taką nie inną być powinna; ale cóż straci melodja na translokacji taktowego akcentu? Muzyka więc jako niczém ściśle nie określona, musi w tym względzie ustępować mowie, i przelana

w jéj naczynie, przyjmować w zupełności jego kształty, nie zaś naginać do siebie to, co się częstokroć żadną miarą nagiąć nie pozwala. Owoż poezja i muzyka bratają się z sobą nie rytmicznym, ani tonowym pierwiastkiem, jak utrzymuje p. Redaktor, jedno wspólną zdolnością rozwijania się w czasie, a bardziéj jeszcze wspólnością jakiegobądź rozwijanego przez nie uczucia, które w pierwszéj mając pewne stałe sposoby wyrażenia, odciska je na drugiéj, nierównie giętszéj tudzież bogatszéj w swych środkach, i nic zgoła, albo bardzo mało szkodującéj na tém ustępstwie. Ale p. Redaktor trzyma się zardzewiałéj rutyny, do któréj słowa *Doręcznika*, *że* to jest tylko *sztuczność* nie *sztuka*, dadzą się zastosować najwłaściwiéj.

Jeżeli p. Redaktor jest tak mocno troskliwym o swą arystarchiczną reputację, to powinienby, nie rachując zbytnie na swą powagę, ani na ciemnotę tych, których los na redaktorskiém stanowisku nie umieścił, ani wreszcie spuszczając się na *chybił-trafił*, być nieco oględniejszym w swych sądach. Bo proszę tylko uważać, jaki lekceważący ton brzmi w jego recenzji na moje piosenki; zdawałoby się, że to ów sławny

Padre Martini, do którego nawet Haendel, Gluck i Mozart przystępowali ze drzeniem. Wprawdzie na bezrybiu i rak ryba, ale podobno z założeniem w Warszawie Muzycznego Instytutu, bezrybie skończy się wreszcie, i p. Sikorski przestanie uchodzić za wieloryba Kto tak nielitościwie chłoszcze drugich, kto absolutnie odsądza od talentu i nauki, ten powinienby dowieść czynem, że ma po temu słuszne prawo. Tymczasem z recenzentem naszym rzecz się ma wcale inaczéj. Chciałeś pan zdania mojego w téj mierze, więc przejrzmy każde z jego dzieł *monumentalnych*, a przekonamy się, że wszystkie one potrzebują wielkiego pobłażania

Czyż np. jego *Szkoła na fortepjan* odpowiada swemu szumnemu tytułowi, co kilka wieszy zajmuje? Po objaśnieniu linij, kluczów, podziału, taktu i t. p., co w pierwszym lepszym elementarzu na każdy instrument znaleźć można, przechodzi autor do najpospolitszych ćwiczeń i sztuczek, czego znowu bez jego pomocy udzielić potrafi pierwszy lepszy nauczyciel. Wogóle dzieło to chyba tylko fascynacją tytułu prze-

wyższa np., *Zasady muzyki na klawikord* Kurpińskiego, gdzie pozwolono w niedostatku fortepjanu, grać *na stole, na oknie lub na czémkolwiek.* Wszakże jeżeli były Dyrektor Opery Polskiéj nowością przedmiotu mógłby uwzględnić swą niedokładność, to czémże usprawiedliwi się dzisiejszy Redaktor Ruchu Muzycznego i Teatralno-Muzycznego Pamiętnika, poprzedzony tylu mistrzami na téj drodze? Dla czego szkołę swoją nazwał *nową?* cóż w niéj podał takiego, coby nowe światło na rzecz rzucało, coby pod jakimbądź względem ułatwiało lub uzupełniało naukę?—chyba to, że niemieckie i włoskie kawatiny zastąpił przykładami z muzyki polskiéj, licząc w to zapewne i walec Gallemberga umieszczony podobno na samém czele? Nie ma tam ani słowa o charakterze instrumentu, o jego zaletach i niedoskonałościach, o sposobie korzystania z pierwszych a pokonywania ostatnich—ani wzmianki o tak ważnéj rzeczy, jaką jest sposób wyrabiania *pięknego dotknięcia klawiszy,* bez czego można się wykształcić na dobosza i klawiszotłuka, ale bynajmniéj nie na fortepjanistę. I to się zowie napisać: »Nową »Szkołę na fortepjan, systematycznie podług zasad

»muzyki rozwinięta, i że względem na stopniowy po-»stęp uczących się ułożona z przykładami po większéj »części z muzyki polskiéj czerpanemi!«

Z kolei spójrzmy na *Dorecznik Muzyczny*, czyli tak nazwane: »treściwe przedstawienie muzyki dzi-»siejszéj ze szczególném baczeniem na miejscowe po-»trzeby, przykładami w nutach do objaśnienia nie-»których szczegółów niezbędnemi, i słownikiem wy-»razów muzycznych.« Sądzi kto może, że to jest owoc długich i ścisłych badań na tém polu, że mieszcząc w sobie to wszystko, cokolwiek godném jest uwagi, przyczynia się do wyrobienia wyższych pojęć o sztuce, albo umiejętnym wykładem pomaga do nabycia gruntownych w téj mierze wiadomości?—Bynajmniéj! jest to po prostu naśladowanie p. Fétisa, dla znających rzecz niepotrzebne, dla nieznających niezrozumiałe, zatém dla tych i dla drugich bezkorzystne, chociaż równie wiele obiecujące w przedmowie, jak owa *Szkoła na fortepjan* w swoim tytule krzesłatym. P. Fétis przynajmniéj tłumaczy się z całą naiwnością francuzką, że jego: *La musique mise à la portée de tout le monde*, jest sobie ni mniéj, ni więcéj jak: *exposé*

succinct de tout ce, qui est necessaire pour jouјer de cet art et pour en parler, sans en avoir faite une etude approfondie; autor zaś *Doręcznika,* nierównie mniejszém i słabiéj opracowaném dziełkiem zamierza i tym nawet dogodzić, »którzy — jak powiada — radziby te»chniki najwięcéj, *by do dna dotrzeć,* którzy gotowi »są badać najzawilsze traktaty to przez zapał, to z »przekonania o potrzebie *różnostronności* nauki (Przed»mowa, kar. IV).« Ale przepatrzmy tylko z uwagą tę książkę, a przekonamy się, że objetnica zawarta w jéj tytule i w przedmowie, nie ziszcza się w treści bynajmniéj. A najprzód grzeszy *Doręcznik* niesymetryczném opracowaniem swych części, gdy bowiem *Dział I-szy* o tonie dotyka historycznego rozwoju tonalności, wojując zdobytą na p. Fétisie erudycją, to za to *Dział II-gi* o rytmie, *III-ci* o melodji, *IV-ty* o harmonji, *V-ty* o formach muzycznych, *VI-ty* nakoniec, o instrumentach, całe nie wdają się w historję, a to dla téj prostéj przyczyny, że i p Fétis niebardzo się w nią zagłębił, chociaż o pochodzieniu i kształceniu się muzycznych narzędzi powiedział nierównie więcéj, niżeli autor *Doręcznika.* Zresztą jeżeli *Doręcznik* ma

być przedstawieniem muzyki dzisiejszéj, to pocoż cofa się do starożytnych, i srednich wieków, zamiast wyjść z tego punktu, kiedy ostateczna forma europejskiéj tonalności znalazła powszechne zastosowanie. Pogląd na rozwój sztuki należy do jéj historji, nie zaś do teorji (zwłaszcza treściwéj), która tém właśnie różni się od pierwszéj, że bacząc tylko na główne rezultaty rozwoju, wiąże je w strojną organiczną całość. A jeżeli autor *Doręcznika* chciał być różnostronnym, to należało, nie naśladując ślepo p. Fétisa, opracować podobnież i resztę działów, które rozpatrzone z historycznego stanowiska, byłyby nie mniéj pożądane dla tych, *co radziby dotrzeć do dna przedmiotu, przekonani o potrzebie i różnostronności nauki.* Owoż co do ogólnego planu dzieła; co zaś do częściowego obrobienia, to takowe cięższym jeszcze podlega zarzutom. Rozdział 1-szy p. t. *Zasada i bogactwo systemu muzycznego*, poczyna się rozprawą o pochodzeniu tonu, o charakterze i warunkach jego brzmienia, przechodzi następnie do akustycznych węzłów i alikwotów, a powtórzywszy to wszystko, cokolwiek w tym przedmiocie wyrzekł Kurpiński w swych *Zasadach harmonji w*

sposobie lekcij wykładanych, nie wyprowadza ztąd ani *zasady*, ani *bogactwa* systemu muzycznego. Zlekka potrącona teorja akustyczna służy tu jedynie dla parady, nie będąc wcale punktem obserwacyjnym, któryby odkrył najłatwiéj wiele muzycznych tajników. Cóż bowiem skorzysta muzyk z wiadomości, że drgająca struna wydaje alikwoty, skoro nie będzie umiał zbudować z nich gammy, objaśnić źródła składowych jéj części, a ztąd pokrewieństwa głównych akordów? Do czegoż prowadzi znowu wykład dziejowego kształcenia się tonacji, skoro nie tłumaczy wyższości jéj ostatecznéj formuły nad poprzedniemi, ani przyczyn sprężystości téj linji, która naginana z łatwością do najrozmaitszych odcieni uczuć, dąży wciąż do zrównoważenia się w pierwotnym kształcie? Gdyby był autor mniéj dbał o paradę, niż o pożytek z owéj akustycznéj teorji, rzecz rozjaśniłaby się sama przez się; nie rozwiązawszy zaś głównego zadania, błądzi wciąż omackiem, szukając zgubionego wątku. Zyskałby na tém dział o melodji, gdzie widzimy tylko siłę poruszającą, ale nie widzimy reagującéj, która właśnie ze sprężystości owéj linji wynika. Zamiast

rozwinąć przykłady téj walki na tle ogólnego prawa równowagi, i do jednéj zasady sprowadzić ich rozmaitość, autor przeciwnie gubi się w rozmaitościach, budując teorję tam, gdzie jéj być nie może i nie powinno. Jest to, jakby kto uczył składać wiersze ze wzorów, bez objaśnienia praw języka; jakby kto z pokratkowanego i rozmierzonego cerklem obrazu, wykładał teorję malarstwa, nie bacząc na ogólne jego zasady. Na rozwiązaniu wspomnionéj kwestji akustycznéj zyskałby też i dział o harmonji, bo ta niczém innném nie jest, jedno wiązanką wielu melodij walczących wspólnie przeciwko reagującéj równowadze tonacji, i przeto wspólnym uległych przepisom, które różnorodność ich działań ku jednemu kierują celowi. Ale autor straciwszy na początku nić Arjadny, nie może poradzić sobie w ciemnym labiryncie Ztąd skład zasadniczego akordu jest u niego wynikiem jakiejś konwencjonalności, nie zaś skutkiem konieczności naturalnéj. Wymieniając niektóre alikwoty, jakie brzmiąca struna wydaje, a mijając te, co nie licują z jego teorją (Dział IV, rozdz. I, kar. 129 i następne), przychodzi autor do rezultatu (tamże. kar. 132 i nast), »że akord

»np. C, E, G, B. mieści w sobie *wszystko* w pier-
»wotnéj postaci, co harmonja, czy to jako dział mu-
»zyki, czy jako zjawisko pojmowana, zawiera w sobie.
»On więc jest jéj typem, formułą. I naukaby go
»za swój przyjęła, *gdyby* nie ta mała septyma (B), jedno-
»stronnie do nowego, do rozmaitości dążąca, a nie
»przykładająca się w niczém do ustalenia tego, co istnieje;
»*gdyby* z tą septymą akord nie przedstawiał raczéj
»dalszego ciągu, niż początek i koniec (miało być za-
»pewne: początku i końca). Więc dla sztuki akord
»ten typem być nie może.« Zgoda! ale cóż się stanie
z alikwotem D., który także nie może być odrzu-
conym bezwarunkowo? Jeżeli mała septyma (B) za-
kłóca spokój zasadniczego akordu, to cóż przewiniła
nonna, że ją autor *Dorecznika* tak niegrzecznie za
drzwi wyprosił? Wprawdzie tłumaczy on (tamże, kar
151), »że od małéj septymy począwszy, wszystko
»(t. j. wszystkie alikwoty), co daléj następuje, już nie
»szerokiemi krokami drogę swą przemierza, ale stopień
»po stopniu pnie się w górę, ma wyraźnie inny cha-
»rakter i dążność inną (melodyjną);« ale teorja ta na
niczém nie oparta, bo czyż koniecznie tony winny

stopień po stopniu postępować, aby melodyjną dążność wyobrażały i nie miały przez to prawa wejść do składu zasadniczego akordu? Wszakże czytamy daléj w *Doręczniku* (tamże, rozdz. IV kar. 155 i nast.): »że akordy pokruszone na części czyli kształ»towone, stanowią harmonijny materjał dla melodji; »że kształtowanie nawet wykończoną melodję utwo»rzyć może, i że w takim razie harmonję od melodji odłączyć nie podobna.« Z drugiéj strony, jeżeli już autor opiera się na wpród wymienionéj teorji, to dla czegoż od zasadniczego akordu odrzuca ową *niespokojną* septymę, którą przecież od kwinty mała tercja przedziela? Czyliż samo obwinienie o *niespokojność* może starczyć za dowód naukowy? Wprawdzie dowiadujemy się przy określeniu charakteru alikwotów (tamże, rozdz. 1 kar. 131), »że septyma małą przy»pomina tonice, iż ją nie w jedną stronę pokrewień»stwo ciągnie;« ale też czytamy wyżéj nieco, »że i »kwinta rownież ma dwoisty charakter, bo określa »jedno, a proponuje drugie.« Owoż, nie mogąc trafić do końca, powiada autor w dopisku (kar. 133): »że nauka »i sztuka, choć oparte na pojawach natury, nie zawsze

»jéj dane mogą przyjąć za swoje dane, bo potrze- »bują do wyjścia nie treści i całości, ale podziału i »systematu do pojęcia i uporządkowania tamtych wedle »swoich potrzeb. Dopiéro ogólny zarys nauki, ogólne »działanie sztuki, obrazem jest *konkretu* natury.« Bardzo dobrze! ale jeżeli tak, to pocóż było wdawać się w pojedyńcze badanie przyczyn takiéj a nie innéj formy owego *konkretu?* Należało już we wszystkiém oprzeć się na gotowych rezultatach, nie kusząc się o ich rozjaśnienie, podobnie jak nie objaśniono np., dla czego, gdy w trybie *moll* akordy tercjowy i subdominantowy przybierają intonacyjne znaki małéj tercji, septymowy zostaje bez odmiany? Cycero twierdzi nie bez zasady, że nie tykać rzeczy, których się nie rozumie, jest to wielki dowód zdrowego rozsądku.—Dział o rytmie nie zawiera nic takiego, czegoby każdy, najmniéj nawet ukształcony w muzyce nie wiedział; nadto nie jest on organiczną częścią owego *konkretu*, o którym autor wspromina, nie wypływa bynajmniéj z ogólnego pojęcia o ruchu, jaki ze starcia się twórczéj siły fantazji z reagującą sprężystością tonacji wynika, ale *ad libitum* wszyty do dzieła, nie wiąże się z niém żadną

logiczną koniecznością.—Dział o formach muzycznych da się określić temi słowy, iż kto przed jego odczytaniem nic o nich nie wiedział, ten i po odczytaniu nie wiele więcéj się dowie. Mianowicie zaś cały wykład kontrapunktu streszczony w siedmiu kartach, i objaśniony jednorygowemi przykładami, takie może dać pojęcie o teorji np., fugi lub kanonu, jakie grająca tabakierka o oratorjum np., *Stworzenie Świata.*—Wreszcie dział o instrumentach, proszę osądzić z następującego opisu rzniętych, czyli smyczkowych, narzędzi: »Są one nawiązane strónami zwierzęcemi czte»rema zwyczajnie; stróny leżą na zaokrąglonym *pod»stawku* podpartym wewnątrz *pudła* klockiem dre»wnianym, *dusza* zwanym. Nawiązane stróny są z »jednego końca do ruchomych (dla dowolnego strón »naciągania) kołków przyczepione i wsparte na *prożku* »(od którego drganie ich się zaczyna). Ztąd wzdłuż »*gryffu* (od greiffen chwytać) biegną do podstawka, »który minąwszy, przyczepiają się do *płużki,* która »znów do guzika między dwiema dekami jest przycze»piona. Ton z tych narzędzi wydobywa się za pomocą »*smyczka* krającego niby czyli *rznącego* stróny. Ztąd na-

»rzędzia *rznięte*, ztąd wyrażenie polskie: *wyrzynać, rznąć od »ucha«* i t. d. (Dział VI, rozdz. II. kar. 249).

O *Krótkim rysie historji powszechnéj muzyki* umieszczanym w Ruchu Muzycznym częściowo z niemałemi przerwami od roku 1859, i doprowadzonym dopiero do Palestriny, a zatém do końca XVI-go wieku, nie można, i nie prędko zapewne można będzie coś stanowczego powiedzieć, jeżeli autor dokończenie téj pracy jeszcze na lat kilka rozłożyć zamyśla. Wszakże z tego, co przeczytałem, przychodzę do wniosku, że tu znowu tytuł nie odpowiada treści bynajmniéj. Jest tam wprawdzie wiele pretensij na historję, ale też tylko pretensij, którymby właściwiéj przypadło nazwanie historycznych notatek, niżeli historji w ścisłém tego wyrazu znaczeniu. Plan dowolny, bez systematu; opracowanie szczegółów nie symetryczne, nosi na sobie piętno rozmaitych, a często wręcz przeciwnych sobie usposobień, z jakiemi autor po odczytaniu rozmaitych źródeł w téj mierze, przystępował do swego dzieła. Łatanina przebija się wyraźnie, lubo naprowadzona na pozór jednostajnym pokostem. Autor widocznie nie przetrawił w sobie nabytych wia-

domości, nie przerobił ich na swoją własność pracowitém myśleniem, to też pozostały one surowe bez wydzielenia pożywnych pierwiastków. Wogóle cała budowa sklecona jest dorywczo i niedbale. Brak krytyki i wyższego na rzecz poglądu czyni niepożytecznemi przywodzone co krok drobne szczegóły techniczne, które nagromadzone bezładnie i nieocenione w stosunku do objętéj niemi myśli, są tylko gruzem bez wewnętrznego znaczenia. Ciekawa rzecz, jak też autor opracuje trzy następne wieki, i jakie będzie ostatnie słowo tego tak mozolnie prowadzonego dzieła?

Owoż to są zasługi p. Redaktora Ruchu Muzycznego. Chciałeś pan, abym ci wyjawił szczere zdanie moje w téj mierze; dopełniam tego ze wszelką skrupulatnością, po długiém i sumienném wczytaniu się w każde z osobna dzieło. Nie wiem, co pan powiesz o moim sądzie; może go znajdziesz zanadto surowym a próżnym wyrozumiałości, na któréj brak uskarzam się właśnie w obu replikach moich. Wszakże proszę uważać, że w tym razie rzecz ma się wcale inaczéj: jam przecież nie Atlas muzycznego wszechświata. Tam chodziło o początkującego kompozytora.

co potrzebuje dopiero obeznać się z rytmicznością, tu zaś o Redaktora Ruchu Muzycznego, głównego kierownika artystycznych pojęć i smaku wykształconéj publiczności. *Parvum parva decet*, ale za to

Im wyżéj, tém widoczniéj chwale lub naganie
Podpadają olbrzymy, łaskawy mój panie,

który zachęciwszy mię do téj pisaniny, nie poczytasz mi zapewne za złe, iż spowiadam się szczerze z mych przekonań przesłanych ci w piśmie niniejszém wraz z zapewnieniem winnego szacunku, z jakim pragnę zostać

zawsze życzliwy
Andrzéj Janowicz.

FINAŁ.

Niniejsze **Trio Muzykalno-Literackie** *odznaczające się w całym swym pochodzie przeraźliwą pod względem głównéj tonacji niekonsekwentnością, może ktoś, jako takie, poczytać za płód grubéj, niewdelikatnionéj wyższym smakiem intelligencji.*

Nie jest ono z liczby pomysłów sympatycznie lgnących do duszy ludzkiéj, czujemy i sami, że uporczywa w tym trójgłosie niezgodność toniki i tercji ze swoją dominantą, nie zmierza do sprawienia komukolwiek artystycznego zadowolenia. Gdy jednak środki ku zjednaniu faworów światlejszéj massy zwykle przez poetów i powieściopisarzy używane, nie dały się zastosować do kompozycji, w któréj głównie idzie nie o idealne piękno, ale o rzeczywistą szpetotę moralną i niesumienność, jaką się odznaczają w potocznych swych, a zwykle najstaranniéj ukrywanych czynnościach pewne indywidua na stanowisku superarbitrów alias kierowników opinji publicznéj, i o zaspokoenie wynikłéj ztąd gwałtownéj potrzeby położenia tamy téj uzurpacji; sądzę przeto, że przez wzgląd na wymienione pobudki, miłośnicy form nadobnych łatwo nam wybaczą to tak niedyskretne od pospolitych reguł autorskich odstępstwo, i zechcą to nasze desperackie Trio przyjąć z tym animuszem, jaki przystoi poważnemu Areopagowi mającemu przed sobą sprawę powszechnego interesu.

Co się okazuje z téj sprawy, czego ona do-

wodzi, i jakie mogą być żądania strony głównie w niéj działającéj?—poznał to każdy, kto uważnie przejrzał zamieszczone tu pisma krytyczne i korrespondencje P. Janowicz zapatrujący się na muzykę nie powierzchownie, ani według pojęć pewnych autorytetów, lecz oczyma swéj własnéj sam dzielnéj refleksji, chciałby wziąć najczynniejszy udział w pracy około wyzwolenia téj sztuki ze służalstwa ladajakim interesom, i podniesienia jéj do piękności swojego ideału; zaledwie jednak pełen energji z ducha postępowych wyobrażeń i ufności we własne siły wynikłéj, zrobił pierwszy krok na téj drodze, trafił na niepokonaną, granitowéj twardości barjerę. Taką właśnie barjerą po kilku niefortunnych próbach ostrza, bomb, taranów i petard, okazał się ktož?..... oto arcykapłan polskiéj Euterpy, jedyny u nas uprzywilejowany od pięciu lat piastun naszych interesów muzycznych, p Józef Sikorski, ten sam, któremu Szopen tyle obowiązanym być musi za rozpoczętą puryfikację dzieł jego, wyrzuceniem już z pierwszéj jego Sonaty obrzydliwego Ges; który prestydygitatorstwo swego fachu do tego stopnia posunął, że nawet na takim,

jak p-na T. Nowosielskiego jasnokościstym o trzech nogach Pegazie, dziarsko puszcza się hop, hop! i niezmordowanie tempo rubato galopuje; którego wreszcie wszystkie wielkie, pomnikowéj trwałości arcydzieła, detalicznie są opisane w zamieszczonym wyżéj liście mojego korrespondenta. Powiedział on wyraźnie p. Janowiczowi po odebraniu drugiéj jego na swoją recenzję odpowiedzi, że jego hypotetyczne sądy o warunkach dobréj kompozycji i o tém, co stanowi dodatnią albo ujemną jéj stronę, nie mogą mieć miejsca w ściśle trzymającym się pewnych zasad Pamiętniku muzyczno-teatralnym, chybaby zgodził się na poddanie ich wymaganéj temiż zasadami operacji; radził mu przeto nader uprzejmie, aby ze swoim artykułem (Rozwiązanie niektórych kwestij i t. d.) dotykającym niegrzecznie słabizny w utworach kompozytorów powszechną wziętością zaszczyconych, udał się gdzieindziéj (nie wyrażono gdzie mianowicie, ale najpewniéj do Stambułu lub Pekinu, gdzie zasady redaktorskie więcéj nierównie zajmującym się uprawą muzyki swobody użyczają). Tak zdemowany autor Sześciu Piose-

nek, już chciał pogrzebać w tece swe nowe muzyczne manyskrypta, kiedy mnie, najbliższemu świadkowi jego zwątpienia, przyszła myśl szczęśliwa wywołania tego abusum na forum publiczne. I otóż sprawa, którą w najzupełniejszym jéj składzie, z dowodami pro i contra, kategorycznem wyświeceniem fatalnych skutków redaktorskiéj oppressji, i treściwie z zaszłych faktów wysnutą a w introdukcji zamieszczoną konkluzją, oddając na sąd światłych współobywateli, śmiem w imie sprawiedliwości żądać wyroku, któryby był dość silnym, by wyznawców zasad egotycznych, tamujących objaw indywidualnych opinji, usunąć z drogi wytkniętéj dla oświaty narodowéj, a miłośnikom literackich i artystycznych, tak zadowolniających, jak p. Janowicza trudów, wszelkie do postępowania w obranym zawodzie nastręczyć pomoce. Komu wiadomo mniéj więcéj, ile zyskuje społeczność wspierając zależne od siebie środkami ochoczych pracowników, i ile traci odmawiając im swojéj opieki, ten sprawy niniejszéj lekceważyć nie będzie. Bóg przykazał człowiekowi sięgać po tę doskonałość, która jest odcieniem Jego niezmierzonéj wszechmocy;

niechże na drodze prawdy, która do niéj prowadzi, nie zawadzają pyszne samoluby usiłujący cieniem swéj wielmożności zakryć przed nami ten przenajświętszy cel naszéj doczesnéj wędrówki Stoimy na straży najszacowniejszego skarbu człowieka—myśli wysnutéj z promyka Bozkiego ideału, i wołamy: precz z narzędziem, które téj myśli rozgłosu użyczyć nie może! Do porządku pp Redaktorowie! Pokora tylko przed wszelką prawdą kwalifikuje na zdrową gałąź do wielkiego drzewa społeczności, a kto zechce zrozumieć, że częstokroć największy w rozumieniu swojém mędrzec nie godzien jest rozwiązać rzemyka u obuwia tych, którymi w pysze swojéj pomiata, ten ujrzawszy jak mizerném i lichém jest to, czém się dotąd w oczach świata pysznił i chlubił, z inném zapewne uczuciem zwróci się do tych, tak niezmiernie od ogniska swojéj wszechwiedzy oddalonych, a odważających się mieć swoje zdanie jednostek, i nie powie po obejrzeniu ich szczeréj pracy duchowéj, że to jest plewa, po którą schylać się nie warto. Nie! gdy bielmo zakrywające prawdę zniknie z oczu, gdy kłamstwo i bluźnierstwo staną się anomalją w na-

szych obyczajach, to i najdumniejszy z olbrzymów dzisiejszéj naszéj intelligencji pod zbawczym wpływem ocknionego sumienia, uszanuje, jak swoją własną. pracę każdego z myślących karzełków. Loika spraw podobnych do naszéj, prowadzi do takich wypadków, i tak będzie. Obyż jaknajprędzéj! Oremus: Miserere nobis Domine!

KONIEC.

SPROSTOWANIE.

Stron. 8,	*wiersz* 9,	*zamiast*	niemym	*czytaj*	wiernym
» 19,	» 1,	»	miusała	»	musiała
» 22,	» 20,	»	utwarach	»	utworach
» 47,	» 3,	»	lekceważenie	»	lekceważenia
» 65,	» 4,	»	obiąć	»	obciąć
» 71,	» 20,	»	nierytmicznie	»	nierytmiczne
» —	» 21,	»	wierze	»	wiersze
» 75,	» 15,	»	wieszy	»	wierszy
» 78,	» 1,	»	*joujer*	»	*juger*
» 79,	» 9,	»	chcał	»	chciał
» 84,	» 19,	»	wspromina	»	wspomina
» 91,	» 12,	»	Pomiętniku	»	Pamiętniku